

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



KRZYSZTOF KOLUMB.

KRZYSZTOF KOLUMB.

D. 12 Października r. b. upływa czterysta lat od wielkiego wypadku, który dla całej cywilizacji i kultury europejskiej—dla człowieka rozpościerającego się w przestrzeni—miał takiesamoznaczenie, jak dokonane w pół wieku później odkrycie ruchów ciał niebieskich dla umysłowego rozwoju Ludzkości. Świat cały obchodzić będzie odkrycie Ameryki, a w obchodzie tym uczei i pamiętać znakomitego Włocha, przez którego stało się owo wielkie rozszerzenie widowni i widnokreśgu życia powszechnego.

Postać Krzysztofa Kolumba nauczyliśmy się czczyć jeszcze w młodych latach, kiedy pacholęcomu umysłowi podawano pierwszą wiedzę geograficzną. To odkrycie całego wielkiego lądu i całego oceanu, których istnienie geniusz Starożytności zaledwie przeczuwał, dokonane przez śmiałego żeglarza, opromieniało go czarem jakiejś tajemniczej wielkości, czyniło zeń postać dziwnie piękną, wspaniałą i potężną. Nie było między nami takiego, coby nie pamiętał nazwiska wielkiego odkrywcę, lub nazwy pierwszej wyspy, dostrzeżonej przez Europejczyków, albo też nie miał powiedzieć, kiedy się stał ten wielki, cudownie w umysłach dzieciennych malujący się wypadek. Później, gdy nam już książki poważniejsze do ręki dawano, pamiętam, z jakim uniesieniem, z jakim żywym odczuciem uroczystej żeglugi, czytaliśmy biografię napisaną przez Washingtona Irving'a. Szlachetny entuzysta, nawet w przekładzie, zapewne nie osobił, ogniem swym formalnie zapalał kilkunastoletnich chłopców, zbitych w gromadkę, i wśród ciszy, jak w kościele, zasłuchanych w głos czytającego. W wierzących sercach, w świeżych, jadem życia nie zatrutych wyobrażeniach Kolumb rósł na bohatera, pociągał za sobą młodocianą ciekawość, podniecał żądze, kusił wolę, obudzał marzenia i żalości. Niejeden ze słuchaczy zazdrościł i jemu i jego towarzyszą. Szkoda, że to tak dawno! Jakby to dobrze było owej, wiekopomnej nocy z czwartku na piątek znaleźć się na jednej z trzech karawel kolumbowskich, a bogdaj jeszcze na najpierwszej, i jak sam Kolumb—w biografii—zawołać: „Ziemia, Ziemia.“

Dojrzałszemu umysłowi nie potrzeba już było nawet jądów życia do poznania, że dawny zapal mógł się godzić tylko z naiwną wiarą dziecięcą: zrobiła swoje naga prawda dziejów, nie tych, które odczuwają poeci, ale tych, które każdemu sumiennemu badaczowi odtwarzać nakazują same pomniki historyczne. A jednak i teraz jeszcze, choć się wiele w patrzącym oku i w widzianym posagu zmieniło, myśl zbliża się do postaci sławnego Genuńczyka, jak do istoty niezwyklej a dodatniej, zasłużonej dla świata, wyższej—jeśli nie doskonałością człowieczeństwa i geniuszem, to wiarą, wolą, wytrwałością, szczęściem, które w okamgnieniu postawiło u szczytu ludzkiej wielkości—i nieszczęściem wreszcie, które ze szczytu stracić równie prędko uśmiało na padół sromoty i uragowiska.

Stało się tylko przez Kolumba, bo dokonaniem przez niego nie było. Wielki, genialny wypadek spełnił się bez udziału geniuszu. Kolumb nie był umysłowym olbrzymem: nie rzucił przed siebie myśli nowych, nie wytykał sobie jasno celu, tam gdzieby inni wzrokiem nawet sięgnąć nie mogli; nie zdążył do niego w sposób doskonały, niezawodny; nie wierzył w granitową konieczność widzianej lub odczuwanej przez siebie prawdy; nie wydziełał naturze jej wielkich tajemnic. Przeciwnie: tylko dopuszczając się wielkiego błędu, a podziwiając go z całym swoim wiekiem—sprowadził wielki dla Ludzkości wypadek. Jeśli czynem jest akt woli myśl urzeczywistniającej, to odkrycie Kolumba wcale czynem nie było. W stosunku do własnych jego mniemań, widać w nim raczej zrzadzenie przypadku,—czyn losu, nie człowieka. A przeto są jeszcze skazy na duszy. Charakter nie sprawa wrażenia posagu z jednej sztuki marmuru

wykutego. Więcej w nim ziemskiej powszedności, niż posagowego piękna i wzniosłości...

Prawda to wszystko, prawda. Ale los, przypadek potrzebował dla siebie czynu przygotowanego świadomie już przez człowieka. Tylko nieustraszony żeglarz,—mniejsza o to, czy posagowo piękny charakter;—tylko żeglarz, pierwszy od początków cywilizacji, nielekający się puścić na niezmiernie przestwory Oceanu w wiatłych statkach ówczesnych; tylko ten, kto niezachwianie wierzył w błędną nawet prawdę i lata całe marzył i pragnął i szedł wytrwale w jednym kierunku, i lata całe szukał środków do spełnienia zamierzonego czynu—tylko taki człowiek, z taką wiarą, wolą i wytrwałością, mógł doczekać się tak niespodziewanego daru od losu, jakim dla Kolumba było, w poszukiwaniu nowej drogi do Starego Świata, odkrycie nowego zupełnie lądu. Zapomina o tem krytyka najnowsza: umie te znamienne rysy żądy umysłowej, siły woli i odwagi szanować tylko w faktach; nie uwzględnia ich w syntetycznych sądach swoich o człowieku. Z jednej ostateczności w drugą: od uwielbienia do niesprawiedliwości.

Krytyka wszakże historyczna w zastosowaniu do Kolumba ostatecznie więcej dobrego, niż złego, zrobiła. Syntezę każdy sam sobie wytworzy,—a w szczegółach nowych znajdzie pożywe ziarna prawdy, o którą każdy poważniejszy umysł głównie dbać musi. Takiego zaś czystego ziarna bardzo już było potrzeba. Przywiązanie synowskie, wdzięczność współczesnych, mistyczna wiara duszy ewangelicznej, nierozwinięty zmysł ścisłości w rzeczach wiedzy i umiejętności, wreszcie próżność samego człowieka, którego życie i czyny opowiadano,—otoczyły postać Kolumba jakąś mgłą legendową, która zasłoniła i gniazdo jego i kolebkę i dzieciństwo i lata dojrzałe, i sam nawet grób, a z tej mgły wyrzeliwała jeszcze, dla większego uroku, jakąś nadzwyczajną przygodę, jakiś niepospolity czyn, zadziwiające śmiałością, rycerskie lub podróżnicze, przedsięwzięcie. Wobec olbrzymiego wypadku wyolbrzymiewał i człowiek. Nawet sama droga morską ku Azji, mająca swój dziennik z dnia na dzień osobiście przez Kolumba prowadzony, nie ostała się wobec poetyzmu historycznego, który, gdy się czego dorwie, zna jedną tylko już miarę—nieskończoność, jeden wyraz—zachwyt.

Przedstawienie, z pomocą najnowszej krytyki i za jej przewodem, kolei życia Kolumba, podłożenie pod to życie tła z umysłowości współczesnej, przypomnienie stanu wiedzy geograficznej Wieków Średnich, wreszcie opowiadanie samych podróży i odkryć—są zadaniem obecnego zarysu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

D O

Za lany złote, za fale zbóż
Zapada cicho słońce,

Księżyc dwurożny wypływa już
A za nim nocy gońce.

Chodź tu, uklękni i ręce złóż,
O dziewczę moje hoże!
Przy tobie stawać zwykł Anioł-stróż
O takiej właśnie porze.

Słuchaj, co mówi do ciebie on:

„O dziewczę jasnowłose,
Tam w gwiazdach błyszczy niebieski tron,
Tam prośby twe poniosę.

Hasło modlitwy dał wiejski dzwon,
Więc modły wznies gorące:
Proś o obfity dla ziemi plon,
O złote dla niej słońce.

Módl się do Boga o więcej sił,
Może twych prośb wysłucha
I będzie w piersi człowieczej żył,
Da wielki spokój ducha.

Proś, niech we wnętrzu umarłych brył
Miłości skrę roznieci,
Proś go, by ojcem prawdziwym był
Dla biednych swoich dzieci.“

Tak szepce tobie twój Anioł-stróż
W cichej wieczornej porze,
I ja wraz z tobą, tu, wśród tych zbóż
Przed Bogiem prośby złożę.

J. Nitowski.

DAR TĘSKNOTY.

Dar tęsknoty!.. To uczucie bolesne, przysłaniające cieniem swoim wszystkie jaśniejsze blaski, kolory życia, czemu nas obdarzyć, co przynieść nam może? to pytanie nasuwa się niemal koniecznie na myśl każdego, kto w odcinku *Kuryera Codziennego* spotkał się z tytułem drukowanej tam niedawno powiastki: „Dar Tęsknoty“. Tęsknota, jak rdza, gryzie serca dotkniętych nią ludzi, gryzie je zwolna, lecz nieustannie i pożera wszystko, co tam mogłoby być radością, uweseleniem życia, i już nas nie zajmuje wtedy nic, co jest zewnątrz nas, nie bawi gwar, ruch przesuwających się nam przed oczyma tłumów ludzkich; więc człowiek chory na tęsknotę z konieczności skupia się w sobie i poważnie, patrzy w głąb życia, dostrzega też to, co jest jego wartością rzeczywistą. Taką jest treść owej powiastki rozumnej, napisanej przez p. Maryę Faleńską. Dziewczynka płocha, bo młoda, a wychowana w pieszczotach, bez rozumnego skierowania myśli na życia cele i zadania, kocha młodzieńca z poważniejszym myśli nastrojem, i gdy z powodu lekkomyślności swojej rozstaje się z nim, gdy go dla swego serca utracą, cierpi, tęskni, odwraca się mimowoli od płochych rozrywek, pociągających ją niegdyś ku sobie namiętnie—płochych próżności zachcianek—i poważnie, dostrzega życia strony wyższe, niż przyjemności chwili i bolesne uczucie straty poniesionej stawia pomiędzy nią a dawnym poglądem na szczęście, płochością lekkomyślną.

Nie myli się autorka w założeniu swoim. Samych miłych wrażeń pragnąć: to z konieczności odwrócić się od wszystkich poważniejszych stron życia, od wszystkich jego zadań i obowiązków wyższych; a czy to jest droga do celu szczęścia wiodąca, czy raczej nie jest to droga od celu odalająca? zapytać potrzeba, patrząc na wyniki życia toczącego się przed oczyma naszymi. Wszak Heliogabal, który na posłaniu z różanych listków spoczywał, zagięcie jednego z nich już odczuwał boleśnie, i tak dzieje się z każdym, kto chce tylko słodczyć same z czary życia spijać. Człowiek jest stworzonym do celów istnienia innych, i dlatego używanie samych wrażeń przyjemnych nigdy zadowolenia doskonałego mu nie da—dlatego przesyca się prędko życiem takim, i uczucie nudy, uczucie nicości, które go wtedy ogarnia—tęsknota za czemś nieokreślonym, niepochwytym napozór, to dar szlachetnej natury ludzkiej, która upomina się w ten sposób o zadosyćuczynienie przeznaczeniu swojemu. Poeta nazywa to dobrą i piękną świętem pożądanym, i tem jest też to rzeczywiście. Człowiek tak się nie może zadowolnić samym dobrobytem fizycznym, że natury niskie przyzywają tu na pomoc szczęściu między środkami różnymi pychę z posiadaniem mienia, godność swą mieszczą w kieszeni, budując sobie piedestał z worków złota. Tak jest we wszystkich życia położeniach: człowiek najbardziej poziomy pięć się musi koniecznie ku jakiemuś ideałowi wyższości, podniesienia się nad płaszczyznę życia, i ten to dar tęsknoty człowiekiem go czyni.

Dar tęsknoty to zatem skrzydła unoszące wzwyż i pod siłą tego-to uczucia wieszsz rzuca hasło wzniósł:—Młodości! ty nad poziomy wylatuj i okiem słońca ludzkości całej ogromy przeniknij z końca do końca... Bez tęsknoty, której moc porwywa człowieka ku przeczuwanym, choć nie oglądanym na oczy celom, Ludzkość byłaby pogrążona w tej stagnacji, potrzebami materialnego bytu ograniczonej jedynie, która jest udziałem zwierząt, i można też powiedzieć: — Człowiek jestem, bo nie zadawalnia mnie całkowicie rzeczywistość pozioma... Senne widzenie Jakuba: drabina ognista, wysoka od ziemi do nieba, to cud siłą jego tęsknoty wywołany, który pełni się przez lat tysiące i powtarza zawsze, ilekroć szlachetny duch ludzki wyrwa się nad zakres życia materialny. Postęp, cywilizacja, to owoce tęsknoty, podnoszącej człowieka nad to, co już posiada, a co nigdy nie zadawalnia go dostatecznie, skoro, jak widzimy, każde jutro jego jest jakąś pracą i zdobyczą nową, nieznaną jeszcze wczoraj Ludzkości.

Tęsknota jest też tym wyższym przywilejem człowieka, którego nie dzieli z żadną inną istotą na ziemi. Przez nią—to i dla niej musi on iść wciąż naprzód, i na tem właśnie polega jego wielkość, jego chwala, że na miejscu nigdy nie stoi, na podstawie jednej zdobyczy swojej wspina się ku drugiej, zarówno przez klęski, jak zwycięstwa, postęp tworzy, pragnąc nieustannie nowe skarby tego postępu sobie zdobywać, co przecież oplaca drogo, bo na każdy jego szczebel nowy musi pracować się dostawać i, nie szukając odpoczynku, co rano do nowej pracy się budzić. Tak pracowali, tak pożądati czegoś lepszego, wyższego, szlachetniejszego ci, po grobach których on teraz stąpa, jak ci, co po nim przyjdą, będą pod nowych tęsknot pragnieniem iść naprzód, depeczęc jego mogiłę. Dar tęsknoty stworzył wszystko, co było i co jest wśród Ludzkości, dar tęsknoty tworzyć będzie po koniec świata i niech też nikt nie mówi sobie, że żył daremnie, jeżeli tylko z uczciwymi pragnieniami w sercu, ku celom dobrym ramiona wyciągał. Tęsknoty, pożądanie dobra wszystkich ludzi uczciwych stworzyły te prawa etyczne, którym dzisiejszy człowiek ulega i do których też od siebie coś przyłożył, bo każde życie według tych praw wiedzione, utwierdza podstawy, jakich potrzeba, aby Ludzkość nie osunęła się niżej, nie cofnęła się w tył, ale, przerabiając w sercu i umyśle idee postępu, czerpała z nich ożywczy pierwiastek życia.

Kto tęskni, pragnie... Tęsknota bierna jest też podobną do tego stanu ducha, który się martwą wiarą nazywa, i posiadający ją człowiek żadnej zasługi sobie nie zaskarbi, jeżeli otrzymany dar czynną siłą życia nie zapłodni i nie będzie usiłował zbliżyć się do tych celów dobra i piękna czyścigo, których obrazy tęsknota jego mu maluje.

Tęsknota po szczeblach przemian, przeobrażeń rozmaitych prowadzi Ludzkość wzwyż. Historia idei—tych idei rozmaitych, które tworzył człowiek, wysnuwając z nich wątek dla wierzeń i ukochań swoich, to historia tęsknot człowieka za prawdą, za doskonałością, której pożąda na każdym szczeblu wyrobienia umysłowego. Żadna też siła obskurantyzmu nie wstrzyma postępu człowieka na drodze ku prawdzie i dobru, tak, jak nie wstrzyma go ten postęp fałszywy, który się opiera na materialnych tylko warunkach bytu człowieka na ziemi. Dar tęsknoty do tego, co jest dla Ludzkości prawdą wiekiową, nie może być nigdy odebrany człowiekowi, bo tkwi on tak w jego naturze, jak tkwi w niej miłość, jak tkwi w niej wiara i nadzieja—trzy cnoty ewangeliczne, dane człowiekowi na to, aby umiał tęsknić...

Poezya urodziła się z tęsknoty człowieka za ideałem, podnoszącym wzrok jego wyżej nad życie organiczne i torującym mu drogę, wiodącą w ten zaświat, który przeczuwa, w który wierzy. Religijny instynkt człowieka, objawiający się na każdym stopniu jego kultury umysłowej, to jeszcze tęsknota—tęsknota, przez którą duch wyrwa się wyżej, niżeli sięgać może ręka i wzrok, a która jest też niewątpliwie w darach swoich najwyższej ubogacającej nas władzą. Tęsknoty piersi ludzkiej są we wszystkich swoich przejawach podobne do tych mgławic, które, jak powiada poeta:

Płyną po niebie
Do nikłych podobne smug,

Szukając kształtów dla siebie,
Szukając dla siebie dróg.
Chcą tkanke swoją pajęczą
W ciał szereg promieniów zbić,
Chwieją się, ważą i jęczą,
By mogły istnieć i żyć...

M. Ilnicka.

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

W sieni zatrzymał go Grzegorz.

— Panie!

— Co, mój stary?

— Od pół godziny już, a może i więcej—bo to ja na zegarek nie patrzył, a nie patrząc; to i widzieć trudno, która tam jest, bo to bez zegarka w dzień tylko można poznać godzinę, i to kiedy słońko świeci i obłoki niebiosów nie zasłaniają. A i to różnie i każdy po swojemu poznaje dzień. Ja, na przykład, aby spojrzeć na słońce, to już wiem: pierwsza czy trzecia—czy iść po wąz, czy pokoje sprzątać; a Piernacka (wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie!) Ale, o czem to ja mówić chciałem?

— Coś od pół godziny.

— Aha! dobrze, że pan mnie przypomniał, a toby człowiekowi i z myśli wyszło, a może rzecz i ważna...

Pokiwał głową.

— O! co to starość.

— Od pół godziny gada i dokończyć nie może—zaśmiał się Michał.

— Racya! to już takie niebieskie postanowienie... Ale, co ja mówić chciałem? Aha! Od pół godziny już, a może i więcej, kozaczek pański na was czeka, bo tam ktoś do pana przyjechał, a nie zastawszy w domu, bo pan był tutaj, przysłał Jaska do pana. O! przypomniał się i powiedział!—dokończył z pewnym przyciskiem.

— Janek!—zawołał Korabiec, stając w drzwiach kredensowych.

Chłopak zerwał się na równe nogi, pod stół karty rzucił, z czego starsi lokaje rozśmiali się—i stanął przed panem. Michał dał znak skinieniem głowy i, pożegnawszy Grzegorza, wyszedł śpiesznie.

Weszli w aleję, Korabiec zwrócił się do chłopca:

— Kto tam przyjechał?

— Jakiś pan — taki tłusty i czerwony na nosie, a w futrze cały i z oczyma jak cebule: ma i wonsy niby u zwierza jakiego, — czy co?

— Nie widziałeś go u mnie nigdy?

— Widział, tylo całkiem inszego pana; ale ten to nie tamten...

— Czy konie kazałeś odprowadzić do stajni?

— On sam kazał—i to z bukiem: „Hej! koniom obroku—słyszysz kpie?“ wołał na mnie, kiedy ja obudził się i gadał do niego *pytający*.

Zaciekawiony Korabiec przyjazdem oryginalnego gościa, przyspieszył kroku. Już w cieniach zasłyszal ciężki, niedźwiedzi chód jakiś przybyłego, który chodził wzdłuż gabinetu i sapał. Korabiec otworzył drzwi szybko i zatrzymał się, mierząc okiem gościa.

Prawdę mówił chłopiec. Cebulaste, bezmyślne oczy nieznajomego kazały zwrócić najpierw uwagę na siebie. Nos trędowaty, kształtem do amerykańskiego kartofla podobny, siedział pośrodku opasłej twarzy, której widok wzbudził uczucie odrazu w Korabiecu. Przybyły był tuzzy dużej, wzrostu prawie niskiego, chód miał kaczkowaty i oddech astmatyczny. Szerokie futro z burego niedźwiedzia zwiększało potworność kształtów; na

wielkim palcu świecił złoty sygnet z krwawnikiem, a głowę osłaniała lisia czapka, której nie raczył, przed wchodzącym panem Michałem, uchylić; futrzane, zachodzące za kolano berlacje ociekały tającą śniegiem i duże mokre ślady zostawiały na podłodze. To impertynenckie znalezienie się nieokrzesanego gościa—podrażniło Korabieca. Zmierzył go od stóp do głów, podszedł kroków parę ku środkowi pokoju i odezwał się:

— W pokojach ciepło: można czapkę zdjąć!

— Oho!—odpowiedział tubalnym głosem zapytany, rozpięając się w fotelu.

— Ktoś pan i czego? — zaciskając zęby, spytał Michał.

— Kto *jezdem*—odparł przybyły—to może być dla was obojętne; a czego chcę, to *zara* się dowiecie.

Korabiec uczuł swędzenie w dłoni, lecz pohamował się. Stanął po środku pokoju i oczy w nieznajomego utkwili.

— Przybyłem do waszpana z rozkazem...

— Z rozkazem? do mnie? — syknął przez zęby Korabiec. Już miał taktkę postępowania zmienić, gdy gość dokończył:

— ...od pana Zygmunta Skalskiego.

Przez wzgląd na Zosię, zresztą w chęci dowiedzenia się czegoś o Zygmuncie, Korabiec raz jeszcze wybuch powstrzymał. Chrząknął tylko znacząco i rzekł:

— Od pana Zygmunta i do mnie możecie pan i przybył—tylko... nie z rozkazem!

— Oho!—mruknął poseł. — Jak mogę *dojrzeć* to tu ekonomowie są hardziejsi, niż kommissarze w Brzezynie. A jednak, czy wam się to spodoba, czy nie—to rozkaz *jezd* i wyraźny. Pie-nia-dze, jakie tylko u was w kasie *som*, wydać *zara* na moje ręce. A kto ja *jezdem*, ten *ludz* objaśni, a pan *faraona* nie udawaj, bo my, brzezińscy, tego nie lubimy.

List wydobył i rzucił na stół, przed którym stał Korabiec.

Michał spojrzal na kopertę.

— Pomyliłeś się waćpan w adressie — zgrzytnął. — To list do Bajbosiewicza, ekonomu Skalskiego.

Gość podniósł się z siedzenia i powoli czapkę z głowy osunął.

— To pan... nie pan—Bajbosiewicz? — zapytał belkocząc, a cebulaste oczy otworzyły się szeroko jak wrota obory.

— Ja, jestem Korabiec, który głupców podobnych tobie, za drzwi wyrzuca.

— Prze-prze-praszam najuniżeniej—zaczął wylaniec z Brzezina.

— Precz!—krzyknął Michał, wyciągniętym palcem na drzwi wskazując.

Fatalnej omyłce na jaką narażony został pan Roch Kucejwa, rządcą Piskiego, rodem z Galicji, winien był twardy sen michałowego Janka. Spał on smacznie, gdy naraz go zbudzono. Już sam wygląd przybyłego sprawił mu zamieszanie w głowie, a tu jeszcze i resztki snu na młodych powiekach ciążyły.

— Tu mieszka Bajbosiewicz?—spytał gość o cebulastych oczach.

— Aha!—odpowiedział bezmyślnie chłopak.

— W domu?

— Nie!

— A gdzie *jezd*, gapiu?

— We *dworze*, u pani...

— Ruszaj, kpie, *zara*... i przywołaj go do mnie natychmiast. A tymczasem pokaż memu furmanowi, gdzie stajnia, obrok i studnia. Hej! słyszysz, osle!...

Chłopak skoczył, jak oparzony, i rozkaz gwałtownego pana Kucejwy co do joty wykonał. Tymczasem i pan Roch, po godzinnym czekaniu na Korabieca, wyleciał sam jak z procy.

Ciemno było na dworze, bo księżyc dawno już zaszedł; wiatr szumił posepnie, a psy ujadaly, chcąc bliższą znajomość zabrać z panem rządcą brzezińskim.

— *Jejdem* jak dzika świnia osaczon — mruknął Kucejwa.

Przemawiając, o ile mógł, czule i łudząc podarkami, które niby z wyciągniętej ręki sypał, pan Roch, odprowadzony przez wyjących i warczących psów zgraję, dostał się jakoś do stajni i

po upływie kwadransa ruszył do wsi, by tam języka o panu Bajbosiewiczowi zasięgnąć.

Wiadomość, którą niespodziewanie otrzymał Korabiec, wzburzyła go niemało. Zygmunt, opuszczając dom szybko, nie miał, widocznie, dużo czasu do wzięcia potrzebnej ilości pieniędzy: a przecież miłość pani Natalii wymagała brylantowych podarunków. Wiedział to Korabiec, bo patrzył na zruinowanych przez nią panów i półpanów. Syrenigłós miała, ruszczanych czarów oczy, lecz serce kamienne. Może się mściła za jakieś szalbierstwo uczucia, za zawód niegdyś doznany? Może! Dziś, lekką stopą deptała po sercach swych wielbicieli, nie wierzyła zakłębom ni łom, upajała ją tryumfy. Jak przeszła wiosna pierwszych jej życia chwil, nikt nie wiedział; zagadywano później, gdy sztyletowała oczyma. Natalia była niegdyś słynną śpiewaczką o operetki paryskiej, później gwiazdą salonów, następnie żoną barona, a potem, potem, potem...

Korabiec zgryztał.

Wiedzieć wszystko, to wszystko przebaczyć. On, dziś tylko widział początek moralnej śmierci Zygmunta, w przyszłości—finansową jego ruinę. Zrazu powstała mu myśl w głowie, by jechać samemu do Brzezina i przerazić Zygmunta choćby zmyśloną chorobą żony... Lecz kłamstwo-by się wydało—z drogi obłądu chwilową nie zwraca się groźbą, a drzwi domu, gdzie przybywa wielony, choć nie uchwytne, sen jego—zatrząsłyby się przed nim na wieki.

— Kocham ciebie—nie opuszczę ciebie! — szeptał, wzrok topiąc w lipowej alei.—Gdy przyjdzie chwila stanowcza, zobaczysz mnie przed sobą; zażadasz krwi serdecznej—rozerwę pierś! zażadasz życia—i życie będzie miało woń słodkiej ofiary, za ciebie oddane!

Ruwał na łożu, snu nie wołał, płynęły tylko fale marzeń, szare jak nurty wiślane, jak wydmy piaskowe pól mazurskich—smutno.

Nie prędko tej nocy sen skleił i Zosi powieki. Gdy weszła do sypialni, spojrzała w okno, przez które przed godzinami kilku dojrzała oczy czyjeś, które w ciemności świeciły jak żar dogasający. Przelekła się, przelekła się kogo? Dobrze jednak, że tak się stało: pan Michał cały wieczór był przy niej.

Usiadła na taburecie, czoło o dłoń oparła i różne myśli w biednej jej głowie płątały się i śnuć zaczęły. Zygmunt... Brzezina... Natalia... szambelan... pan Michał.

Zatrzymała się na tem imieniu.

— Jakiś dramat musiał się w życiu pana Michała odegrać—szepnęła. — Coś się zerwało, coś pękło straszliwie we wnętrzu jego istoty. Mimo to, on się nie złamał, nie upadł, rak nie opuścił, nie pogroził się samolubnie w boleści swojej, lecz oddał się tym, o których dzieje i ludzie zapomnieli, świat trudu i poświęceń postawił na miejscu pustki serdecznej. Ach!... gdyby takim był Zygmunt!

— Pan Michał—myślała dalej — mówił mi niegdyś, że kochał nieszczęśliwie. To dziwne, że... tak się na jego sercu nie poznało! Gdyby wszystko według jego pragnień się stało, nie nie zamąciłoby szczęścia wybranej przez niego. Na takim ramieniu spokojnie można czoło oprzeć. Pan Michał nie opuściłby żony dla żadnej Natalii, nie olśniłby go przepych szambelańskiego dworu, nie skłamałby nie... zdradził. Ach! gdyby takim był Zygmunt!

Płynęły ciche łzy z fijołkowych oczu Zosi, kolana usunęły się na ziemię, schyliła czoło, a z drżących ust wybiegła cicha modlitwa do Niebios Królowej.

Zagasło światło we dworze Skalskich, świeciło się w dworku Korabieja; pod osłoną ciemności i ciszy, przerywanej gwałtowniejszym poświstem wiatru, wieś spała, gdy nagle, na ekonomii, w oknie mieszkania pana Rafała Bajbosiewicza, zabłysnął szybki płomień lampy. Niezwykle to było zjawisko, bo „dzień na czuwanie a noc na spanie Pan Bóg stworzył“ i do tej maxymy rządcy Ogarówki i wsi przyległej stosował się bez żadnych zastrzeżeń.

Pan Rafał wszystkie czynności, czy były one wynikiem obowiązków, czy praw natury, wyko-

nywał z całą dokładnością. Gdy pracował, żadna siła nie mogła go już od zajęć oderwać; gdy dzień niedzielny święcił, palcem wtedy nie ruszył. Jedzeniu oddawał się z niezwykłym zapałem i niechby dach nad jego głową w płomieniach stanął, nie przerwałby też ważnej czynności, dopóki by choć jedna kropla sosu na talerzu została.

A cóż o śnie mówić?

Sen jego był twardym jak serce skapca, a nie naruszonym, jak powinno być dziewictwo: przerwać go nikt nie miał prawa. Wiedziała o tem służba dworska i folwarczna. Pan Zygmunt z tym drogoceńnym skarbem Bajbosiewicza obchodził się z całą względnością, wyręczając się w danym razie ekonomem; małżonka nawet snu pana Rafała przerwać nie miała prawa. Prawda, że nie małym też było przedsięwzięciem rozbudzenie Bajbosiewicza. Wiedział on o tej własności swojej natury; to też, gdy po sutej wieczery i odmówieniu na głos pacierza do snu się układał, odzywał się zawsze:

— No! teraz mogą armaty walić!

Po paru minutach silne chrapanie wstrząsało powietrzem sypialni, psy śpiące na folwarcznym dziedzińcu nadstawiały uszy, a z sąsiedniego pokoju wylaływały ciche westchnienie pani Rafałowej.

— Nieszczęście! — szeptała rozbudzona małżonka, wtłaczając głowę pomiędzy poduszki.

Kara boża! — wołała po chwili zrozpaczona, naciągając na siebie wszystkie manatki, jakie były pod ręką.

Ale pan Rafał spał, grając na różne tony, jak organ fałszywy.

W tem kilkakrotne, silne a impertynenckie uderzenie w drzwi dało się słyszeć.

— Jezus Marya! — krzyknęła pani domu.

— Co za czort? — wrzasnął tubalnym swoim głosem Bajbosiewicz, zrywając się na równe nogi.

To pan Roch Kucejwa dopominał się o prawo noclegu. Głęboki jednak bas pana Rafała, zapytanie zbyt energicznie rzucone i świeża pamięć niefortunnej wizyty u Korabieja, powstrzymały gwałtowność szturm. Nie chcąc być od drzwi odprawionym, co w perspektywie pokazywało mu niemile nocleg w karczmie, pan Kucejwa nacisnął klamkę i odezwał się, o ile mógł, słodko.

— To ja jeźdem!

— Do ekonomia! — zawołał Bajbosiewicz.

— Jeźdem kommisarzem z Brzezina.

— A choćby i z Pacanowa, to mi wszystko jedno... Wszystkie sprawy nagle w nocy załatwia Tropiszewski.

— Razywam się Roch Kucejwa.

— A choćby Jan Puciata, który był rodzonym dziadkiem moim, to i nieboszczykowi zbudzić-bym siebie nie pozwolił. Dzień na czuwanie a noc na spanie — ot co!

— Ale ja mam...

— Do ekonomia! — wrzasnął Bajbosiewicz, zaciśnięte kłaki w ciemności — ot co!

— Nie do ekonomia tylko do Bajbosiewicza wysłany jeźdem od pana Zygmunta Skalskiego — ot jak! — huknął nawzajem pan Roch.

Nazwisko Skalskiego i podniesiony głos Kucejwy zastanowiły Bajbosiewicza.

— Od pana Zygmunta? — mruknął. — Aha!

— I to w ważnej sprawie — ohe!

— W ważnej sprawie... oho! — powtórzył Bajbosiewicz.

— Puszczażcie pan, do pieruna!

— Zaza, zaza... Gnusiu, lampy! — odezwał się do żony, która rozkaz męzowski natychmiast spełniła.

Bajbosiewicz ubrał się, o ile mógł, pośpiesznie i odryglowawszy drzwi, poprosił do środka rządcę dóbr szambelańskiego.

— Okazała postać — mruknął pod nosem, mierząc oczyma szerokość pleców Kucejwy. — Gnusiu, wiśniaku, tego, wiesz! i coś z mięsiwa!

Mruknął na żonę, z pewnym niepokojem patrzącą na buldogowatą twarz przybyłego.

— Ależ pan spisz! — zaczął Kucejwa, siadając na wskazanym miejscu.

— Ależ pan stukasz, mości dobrodzieju! kiedy mnie nawet zbudziłeś.

— Czy to wy wszystkich tak gości ładnie od drzwi swoich odprawiacie?

— Wszystkich bez wyjątku, mości dobrodzieju, bo dzień na czuwanie, a noc na spanie Pan Bóg przeznaczył. Pan Skalski nawet nie ma prawa w nocy mnie budzić.

— A gdyby jaki wypadek w folwarku się wydarzył?

— Jest na to Tropiszewski, mości dobrodzieju!

— A gdyby pożar, przypuszczając?

— A mnie co do tego, mości dobrodzieju! Tropiszewski jest na to.

— No, no!

Pan Kucejwa głową poruszył.

Po chwili, z wdzięcznym dygiem, weszła pani Agnieszka Bajbosiewiczowa; za nią wiejska dziewczyna wniosła na tacy przekąskę zimną, sporych kieliszków parę i pękata butelkę kilkunastoletniego wiśniaku.

Na twarzy gospodyni znać było zmęczenie jakiegoś; oczy miała omdlałe, znużonemi co chwila zakrywane powiekami. Zdawało się, że sen nie osiadł nigdy na nich, choć snu były spragnione. Postać jej cała, szczupła, wątła, stanowiła zupełne przeciwieństwo z rozrosłymi barkami i wspaniałą tuszą małżonka. Błady uśmiech błąkał się na jej wywiedzionych ustach a suchy kaszel nie dobrze o zdrowiu płuc mówił. W spojrzeniu, zwróconem ciągle na męża, znać było trwogę pewną, niewolniczą poddańczość jakąś. Nie po różach widać szło jej życie.

— To żona wasza? — spytał Kucejwa, oddając ukłon gospodyni domu.

— A tak! żona, mości dobrodzieju, choć do szczypty więcej podobna, niż do uczciwej kobiety.

— Dzieci zapewne są?

— A są — okragła ósemka, mości dobrodzieju, a dziewiątego tylko patrzeć. No! ruszaj spać, Gnusiu, bo my tu mamy o interessach gadać.

Agnieszka wyszła, Bajbosiewicz wziął do rąk kieliszek i przepił do gościa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Panowie bracia.

Powieść Klemensa Junoszy.

W *Panach braciach* dał nam Junosza, w formie powieściowej, charakterystyczny i nader malowniczo skreślony wizerunek tej ze wszech miar ciekawej gromadki ludzi, która mieszka nad Bugiem i Liwcem wśród sierniężnej ludności wioskowej. „Pan brat“ pozornie niczem się nie różni od chłopca, gdy bosi, ogorzały idzie za pługiem lub, zgięty w kablak, z sierpem w ręce uwija się po zagonach. Jednakże baczniejsze oko zdoła dostrzedz coś, co stanowi różni go od prostego wieśniaka. Ma on jakieś zacięcie, jakąś fantazyę, właściwą sobie tylko, jakieś poczucie wyższości i godności osobistej; i nie dziw: wszak wie on dobrze, że „gdyby wszystkich swych pradziadów ze świętej ziemi wykopał, gdyby ich spróchniałe trumny pootwierał, toby znalazł tam i mitry pleśnią wieków pokryte, i buzdługany zardzewiałe, i pieczęcie“.

Ztąd ta fantazyja jego i to poczucie wyższości.

Nieraz, gdy dzieciak ciekawy, znalazłszy gdzieś na strychu starą ostrogę o trzech kolcach, zapyta o jej znaczenie, ojciec, „jeśli zły, to krzyknij, pięścią w kark ciekawego uderzy i do gęsi odpędzi; ale jak się trafi, że jest w dobrym humorze, a jeszcze w zimie wieczorem, albo przy święcie, to gada i gada, a dzieciak przycupnie pod piecem, czy jak młoda sowa wytrzeszczy i słucha. Kartofle mu ostygają, ale on nie nie pyta, wciąż słucha i sen go nawet nie zmorzy“.

Ztąd ta fantazyja „pana brata“ i ztąd to poczucie wyższości. Jedną z najcharakterystyczniejszych cech jego natury, otrzymanych w spadku po przodkach, jest niepomierna gotowość do wszel-

kich kłótni i zamięłowanie w processach. Pan brat umie skorzystać z najmniejszej drobnostki, byleby tylko mózgi sąsiadowi wytoczyć proces; nie idzie tu obu stronom o powetowanie wyrządzonej krzywdy, o istotę sprawy samej, ale „o honor, o ambit, o na swójem postawienie. Ten powiada: stracę, a nie dam; tamten rzecze: kapotę zastawię, a nie puszcze! Bo właśnie ludzie taki ambit swój mają. I z tego ambitu jankor wielki jedna i druga strona weźmie, że choćby bez koszuli zostać, buty ostatnie stracić, nie ustąpi drugiemu ni krzty. Tak właśnie prawował się Szymon z Wincentym o psa przez siedm lat. „Za tę mitrę i koszt, co ponieśli, toby nie marnego psa, ale stado owieczek kupił, a przecież jeden drugiemu nie ustąpił. Ambitne ludzie! Byliby się do dzisiejszego dnia jeszcze prawowali, ale pomarli obaj w jednym roku“.

Po przeczytaniu tych wszystkich ustępów, w których widzimy doskonały wizerunek krewkiej natury szlacheckiej, uwidatniony w opowiadaniach o kłótniach i processach, żałować trzeba, że autor powieści swej nie osnuł na jednym z takich właśnie processów. Zważywszy dogodne w takim wypadku pole dla występu najrozmaitszych charakterów, a nade wszystko, zważywszy doskonałą u autora znajomość natury tej szlachty i jego talent w kreśleniu podobnych postaci, mamy prawo poniekąd przypuszczać, że powieść taka zajęłaby jedno z wybitniejszych miejsc w dziedzinie potocznej epiki naszej. Nie zastanawiając się atoli nad tem, co autor mógłby nam dać, zobaczmy raczej, co dał.

W Lipowicach, wiosce, złożonej z drobnej szlachty zagonowej, odbywa się pożegnalna uczta, taka wspaniała, jakiej dotychczas, odkąd Lipowice Lipowicami nie widziano jeszcze. Bo też i wypadek zaszedł niezwykły: najbogatszy w całej wiosce szlachcie, Zacharyasz Lipowicki, z przezwiska „Głowacz“, razem z czterema współnikami swymi, sprzedawszy cały swój majątek, przenosił się na nową „posiedzialność“ do Latoszyna, w bardzo dalekiej stronie, bo aż o całe sześć mil odległe od Lipowic. Z tego więc powodu musieli być i uczta wystawna, a jej nieodzowną część stanowił głoszący ze swej dobroci krupnik szlachecki: „Ani Francuzi, ani Anglikanie, ani żadne inne Niemcy, co za morzami i za górami mieszkają, takiego trunku nie pili i takiego smaku, i takiej ciepłoty dziwnej, co człowieka nawskróś przenika i przejmuję, nie zaznali i nie zazną; bo do krupnika dużo rzeczy potrzeba, których zagraniczne narody nie znają, a choćby nawet i znały, to nie mają tego sensu i tego pomiarkowania, w jakiej proporcji ich użyć“.

Po skończonej uczcie, na której, gdy krupnik w głowie zaszumił, i bez kłótni się nie obešlo, pięciu szlachty ruszyło w drogę do Latoszyna, gdzie rozpoczęło się dla nich nowe, pełne na razie rozmaitych kłopotów życie, gdyż majątność ta, obszerna pozostałość po hrabiowskiej fortunie, była całkowicie opuszczonej; szlachta więc jęła na swój sposób wszystko do porządku przyprowadzać, wycinając w ogrodzie jakieś niepotrzebne drzewa cudaćkie i różne badyły i zielska zamorskie, wyjmując z pałacu drzwi, okna i posadzki do nowobudowanych uczciwych chałup szlacheckich, wreszcie sprzedając żydom stopy szkielec orężeryjnych i rozmaitego żelazniwa, sprowadzonego przez dawnego właściciela z zagranicy, i niby stanowiącego jakieś narzędzia gospodarskie, których użytku panowie bracia żadną miarą domyślić się nie mogli.

Najtrudniejszą do rozwiązania była niewątpliwie kwestja sprawiedliwego podziału ziemi i budynków gospodarskich między współnikami. Każdy radby jaknajwięcej zagarnąć sobie, a ztąd mogło łatwo przyjść do obrazy Boga, do kłótni i processów. Jednakże Zacharyasz, najpoważniejszy i najmądrzejszy szlachcie, usiłował wszelkimi środkami, nawet chociażby z uszczerbkiem dla siebie samego, utrzymać zgodę, co było rzeczą niesłychanie trudną ze względu na przyrodzoną krewkość szlachecką, na poczucie honoru, no—i na nieprzepartą chętkę posiadania jaknajwiększej ilości ziemi „żywiającej“. I ostatecznie przezornym, ostrożnym postępowaniem dopiął swego: zgoda przez cały czas nie była naruszona.

Raz tylko zaszedł wypadek, który na chwilę zamącił przykładowy spokój wśród szlachty latoszynskiej. Do zabudowań gospodarskich zabłąkał się rój pszczoły i, przez otwarte drzwi wleciawszy do stodoły, padł na kupę słomy. A „wiadomo nawet i dziecku, że jak pszczoły same do czyjego domowstwa, czy do zabudowania, przylecą, temu fortuna się śmieje, temu wszystko i drzwiami, i oknami, i kominem pechać się będzie; temu zamierzenie każde się uda, pomyślenie spełni, robota opłaci, temu będzie przymnożenie i w dzieciach, i w dobytku, i w pieniądzach, i we zbożu, i w każdej rzeczy pomyślność, według tego, jak sobie tylko sam upodoba“. Nie było więc w tym razie żartów. Któżby chciał dobrowolnie zrzekać się szczęścia, gdy ono samo w ręce mu wpada? Każdy tedy szlachcie chciał bądźco bądź rój do siebie zagarnąć. Przy innej jakiegokolwiek okazyi można dla świętego spokoju poczynić pewne ustępstwa, ale w tym wypadku, gdy idzie o szczęście, słuszną bronić się do ostatka. Więc Rafał z przezwiskiem „Hulajdusza“, najbardziej niespokojny i opryskliwy szlachcie, krzychał, że jego słoma, a więc temsamem i pszczoły do niego należą; Piotr zaś dowodził, że on tylko ma prawo je zabrać, ponieważ stodoła w podziale jemu przypadła; a następnie Zacharyasz, który w każdym innym wypadku chętnie byłby dla zgody ustąpił swego, stanowczo zaprotestował przeciw roszczeniom współników, i uznał pszczoły za swą wyłączną własność, z tej racji, że grunt, na którym stała stodoła, do niego należał. Ztąd „poczęli się wadzić z zjadłością wielką, a jeden na drugiego paskudnym słowem, niby kamieniem, miotał. Czerwienili się jak buraki, to znowuż błedli niby ściany, dla żelżywości wielkiej i gniewu. I nie dość im było siebie samych znieważać, ale lżyli ojców swoich, matki, dziadków. Całe familie poruszali z grobów i na tych, co pomarli dawno, co spróchnieli już w świętej ziemi, co się w popiół i proch obrócili, na nieboszczykach, na sędziach bozkim stojących, wieszali psy, pokutujące dusze znieważali słowem nieprzyjaciół“. A gdy pochrypli już od krzyku, od „jankoru“ wielkiego, „puścili pięście w ruch, i powstała, że niech Bóg bron i zachowaj! bitwa ten większa, że i baby w nią się wdały; wiadomo zaś, że kobieta w takiej okazyi bywa zawzięta, jak żyd w tańcu; a ponieważ podług rodzaju swego kobiecego nie bardzo w pięści i w ramieniu jest krępka, — tedy puszcza w ruch paznogi i zęby, ucepli się człowieka jak pijawka, wkrci się we włosy jak nietoperz, że ani się otrząsnij, ani odpędź, ani oderwij“.

Ten fakt kłótni, a następnie bójki szlachty, opisany jest tak barwnie, tak plastycznie i z takim zasobem humoru, że już sam jeden, wyszedłszy z pod świetnego pióra Junoszy, może służyć za dobrą charakterystykę burzliwego usposobienia szlacheckiego. Tembardziej więc żałować potrzeba, iż na tym fakcie, tak świetnie rozpoczęte i prowadzone przez połowę utworu opowiadanie urywa się nagle, a natomiast cała akcja, wbrew pierwotnemu założeniu powieści, skupia się około odszukania przez Zacharyasza syna „Hulajdusza“ i około żony jego, która, spotkawszy się raz przypadkiem z dawnym, jeszcze z czasów panieńskich, przedmiotem gorącej miłości swojej, traci dotychczasowy spokój ducha i w ciągłej walce między głosem obowiązku żony a uczuciem rozbudzonej nanowo miłości staje się plagą dla męża.

Opowiadanie kończy się katastrofą: Rafał, podpatrzywszy żonę, rozmawiającą z kochankiem, wystrzałem z fuzji zabija ją na miejscu, poczem sam wiesza się sromotnie w lesie na dąbku. Takie przerwanie akcji w połowie powieści, a rozpoczęcie natomiast nowego wątku jest bądźco bądź bardzo rażące i niewątpliwie pod względem budowy artystycznej szkodzi utworowi. Sytuacja poniekąd ratuje w tym razie, łagodząc ów rozdzwiek, sam ton opowiadania, zawsze jednakowy w całym utworze i tak znakomicie licujący z samym przedmiotem. Autor przemawia do nas stale językiem szlachty zagonowej. Wypływająca ztąd prostota wyrażań i poglądów charakteryzuje wysmienicie stan umysłu i ducha tej warstwy społecznej i całej powieści nadaje niewysłowny urok prawdziwej poezji. Zobaczmy w jaki sposób roztacza Juno-

sza przed oczyma czytelników obraz zbliżającej się wiosny:

„Każdy czas prawo swoje ma, jak wiadomo, insze i do rzeczy inszej przysposobienie, ale żaden taki nie jest sercu człowieczemu przyjemny, jak ten, co go z ciepłych krajów ptacy na swoich skrzydłach przynoszą. Każde stworzenie wita go z uciechą i nietylko człowiek, ale, nieprzymierzając, i bydlę, i zwierz, i najmniejszy robak w ziemi uciechę z przyjścia onego czasu, z przyjścia wiosny pokazuje. Bo też idzie ona, idzie ze wspaniałością wielką, jak w święto najuroczystsze, w processyi. Więc się naprzód skowronek maleńki do góry wzbije i, zawiesiwszy się wysoko, dzwoni jakoby w sygnaturkę na jutrznię i narodowi wszystkiemu wielkie święto opowiada, a za nim dopiero ruszą się inne ptaszki śpiewające, świergocące i drobne, i większe, a wszystkie z pieśniami, z graniem, jako kapela najprzedniejsza.Z łąk, z borów, z pękających pąków na drzewinie zapachy idą, jako z trybularzów. Owdzie mgła podnosi się niby dym, a z borów, rzek, strumieni szum idzie, jak z organu, gdy na podniesienie organista dudy wszystkie zatka i tylko jednej, szumiącej, grać każe. Zdaje się, że dzwony dzwonią, pieśni rozbrzmiewają, kadzidła w górę idą, chorągwie szumią, a nad tem wszystkim, jako monstrancja wspaniała, ukazuje się słońce w blaskach złocistych, z mocą takiego majestatu, że człowiek oczu na nie podnieść nie śmie i głowę schyla w pokorze. I idzie ta processya wielka, nie moment, nie godzinę, ale dnie i tygodnie, — idzie, nie ustając w uroczystości wielkiej, w śpiewaniu, w kadzidłach. Słońce obróci się w inne strony i z oczu naszych zejdzie, a natomiast wystąpią gwiazdy, jako wielkie bractwo ze światłem Wszystko świeci się, błyszczyci, jaśnieje, wszystko młode, rozśpiewane, życia pragnące, jako ta dziewczyna, co wyciągnawszy rączki przed się, po łąkach biegnie, za motylami goniąc. Wszystko żyje, wesele się, śpiewa. A co ono śpiewa, jakie słowa układa w tych szumach, szemraniach, w ptasich pieśniach i onych głosach dziwnych, co niewiadomo z kąd je wiatr przynosi? Niby nie ludzka w tem mowa, a przecie, żeby tak oto człowiek jaki kochający, co, nietylko okiem i uchem, ale i sercem gorącością patrzeć i słyszeć może, do ziemi onej przypadł, w ptaszkowe śpiewanie, w wody szumienie, w granie wiatru się wsłuchał, żeby na ten czas o swoich własnych mizernych chęciach a gorzkościach i bólach zapomniał, to możeby i wyrozumiał ten głos dziwny, przenikający, co choć słów ludzkich nie ma, a taki wymowny, i choć do składu nie jest, jako pieśni ludzkie, a przecież tyle śpiewności, tyle grania słodkiego ma w sobie“.

Leż poezji, ile prawdziwego piękna kryje się w tym skromnym prostym obrazku; jakież to doskonały wizerunek prostoty tych ludzi, co poswojemu umięją odczuć piękno przyrody i poswojemu w słowach niewyszukanych, ale bardzo trafnych dają znać o kryjących się w głębi ducha ludzkiego prawdziwych perełkach poezji! Junosza posiada bardzo cenną, a rzadko spotykaną zdolność wcielania się całkowitego w swoich bohaterów w chwili tworzenia i przejmowania się, nietylko ich duchem, ale i formą, w której się duch ten objawia, — i dlatego, tak samo, jak oni, czując, przemawia najeższej takim, jak oni, językiem, jednakże bez cienia jakiegokolwiek przesady i nienaturalności. Niewątpliwie jest to jedna z większych zalet pisarskich.

J. Nitowski.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

Miłość nie rdzewieje... twierdzi stare przysłowie. Lata płyną, życie gromadzi troski i ciężary, pod którymi zgina się niejedna zamlodu wyniosła postać; przecież wspomnienie w sercu przechowane, kryje się jak iskra pod popiołem i ożywia, ogrzewa je jeszcze jak ów promień słońca jesien-

ny, który nieraz budzi do życia i rozwija kwiaty, w Maju tylko kwitnące. W pamiętnikach francuskiego komedyopisarza Scribe'go mieści się szczegół, dowodzący tej prawdy a zapamiętany z lat jego młodych, kiedy jeszcze jako literat początkujący sił swoich próbował, i obok drobnych utworów scenicznych pisywał libretta dla francuskiego maëstro, Boieldieu, a który w 1824 r. zażądał od niego tekstu do opery „Biała Dama“, oczekiwanej z wielkim zajęciem, nie tylko przez cały ówczesny świat muzyczny, ale i przez króla; Karol X bowiem interesował się bardzo, tak sztuką jak i sceną paryską, pragnąc wskrzesić tradycję Ludwika XIV. Ale minął rok, mijał drugi, a mistrz nie dawał znaku życia, zamieszkałszy wiejską ustron, oddaloną od Paryża o cztery godziny dawniejszej drogi kołowej: Cormeilles-en-Parisis, gdzie nabył posiadłość bardzo wdzięczną i zaciszną: pałacyk, otoczony rozległym, starym parkiem wśród rozłożystych wiązków starych, które go kryły niemal.

Brama dziedzińca nie otwierała się niemal nigdy, bo nie zajeżdżali tu goście, i boczna furtka służyła zwykle domownikom, a ludność wioski Cormeilles tak już przywykła do tego trybu samotnego życia maëstra, że zbudziło to niemal podziw, gdy pewnego letniego dnia 1825 r., młody, piękny pan elegancko, ustrojony i dosiadający dzielnego konia, skreślił z paryskiego gościńca ku wiosce, którą przebywszy, zatrzymał się przed bramą otoczonego sztachetami dziedzińca i zadzwonił.

Był to Scribe. Służba nie chciała zrazu wpuścić go do pana, ale ostatecznie zdobył sobie przystęp do sanctuarium, które go kryło i wytworny elegant z bujnym, *à la Tytus* ufrizonowanym włosom, w szafrowym fraku i karbowanych żabotach, dostał się nakoniec do obszernej komnaty z wyjściem na ogród, gdzie, przy ogromnym staroświeckim biurku, siedział blady, delikatnych, regularnych rysów twarzy, już nie pierwszej młodości, gospodarz. Pisał nuty; z ogrodu załatwiał wietrzyk wonny, słychać było szmer liści, świergot ptaków, a gospodarz, choć zmarszczył się zrazu, przyjął gościa jednak bardzo uprzejmie. Gdy przecież przyszło do interessu, mars ukazał się znowu na czołe. — Nie mogę tworzyć na zawołanie — odparł, dodając, że wśród ciszey wiejskiej przystąpiła do niego ta muza tonów, która zbudziła mu w sercu wspomnienia młodości, roztoczyła przed oczyma wyobraźni krajobrazy Normandy i śpiewa mu na temat tamtejszej poezyi ludowej. Temu przecież, kto długo żył w Paryżu, trzeba nie tylko skąpać się we wrażeniach uroków natury, ale sztuczność miejską, cały świat miejski zostawić w tyle poza sobą — zapomnieć o nim...

— Trzeba mi w skupieniu i cichości przywołać do siebie ducha ludowej poezyi, ludowej pieśni, i dziewczę nie tutejszych stron — dziewczę z różowem, jasnem obliczem ujrzyć, w oczy jej popatrzyć, szczerze jej lzy i uśmiechy widzieć... mówił, a Scribe poznał, że na pulpicie mistrza jest coś osobistego, że tu grają wspomnienia młodości, śpiewają młodości melodye i już nalegać nie śmiał; ale Boieldieu w dalszym ciągu rozmowy sam mu się przyznał, że już wszystko, całe niemal dzieło jest gotowe, braknie tylko jednej, jedynej arii: piosenki przy kołowrotku, którą chce drugi akt rozpoznać, ale tonu, który tu grać ma, uchwycić nie może...

Scribe, który był naturą zupełnie inną, trochę tego nie rozumiał, i zaczął nieznacznie, powoli, z radą występować, jak natchnienie przywołać, ale Boieldieu mu przerwał: ta piosenka wciąż uciekająca przed nim i wciąż się odzywająca jakgdyby z oddali, potrzebuje tylko wynurzyć mu się z pamięci; bo on za lat młodych już ją słyszał, piosenkę taką, jakiej mu trzeba: smętną, tkliwą, łagodną a poważną. Śpiewaczka, z której ust wyszła niegdyś, czy przecież żyje jeszcze?

Upłynęło już przeszło trzydzieści lat od chwili, w której mu ją śpiewała, i Scribe radził też, aby mistrz, nie odwracając, co najprędzej do Rouen jechał, a czy ową śpiewaczkę zastanie jeszcze, czy jej nie zastanie już przy życiu, zawsze zachwyci coś z upragnionej melodyi, bo zaśpiewa mu ją miejsce samo: otoczenie lat młodych, ujrzone naraz, i zachwyci też w piersi powietrza stron rodzinnych,

które go orzeźwi i ukrzepi. Tu, wśród samotnego życia przebywa ze sobą tylko, zasklepił się zanadto w pracy, opasał się kołem sztuki swojej, zasiedział się w kąciaku jednym, zmęczył pracą umysł i ciało; gdy przecież odetchnie świeżym powiewem pól i lasów, gdy widoki, obrazy nowe uderzą go — gdy szczególnie czar stron rodzinnych oddziała nań wspomnieniami, nieuchwytna melodia przyjdzie sama do niego i zaśpiewa mu czarowną piosenkę wspomnienia....

Boieldieu zerwał się z miejsca, jak młodzieńiec: — Znalazłeś, przyjacielu, znalazłeś klucz, do zostawionego w tyle poza sobą pałacu wróćki!.. zawołał, a oczy mu błyszczały. Wstąpił w niego, jakgdyby duch nowy — duch młodości, i nazajutrz rano wjeżdżna brama dziedzińca jego posiadłości otworzyła się szeroko, powóz z dużą walizą podróżną w tyle wytoczył się na gościniec, a maëstro jakgdyby wypuszczony z więzienia, patrzył na świat i ludzi wzrokiem wesołym, ciekawym. Przeszłość zostawiona poza sobą, przeszłość zapomniana, występowała teraz w obrazach malowanych, przez wspomnienia, do którego-to skarbu muzyk sięgał rzadko, i tylko w tych chwilach wyjątkowych, gdy zmęczony pracą chciał odpocząć; ale były to wtedy tylko cienie jakiegoś zamglone, które uchodząc zostawiały go prawie objętym i zasuwwały się wkrótce w głąb szarego pomroku oddalenia.

Jego życie dzisiejsze, życie sztukmistrza, tak było dalekiem od tych spraw młodości, że musiał chwycić porwane nici i wiązać je ze sobą. Dziwną i jakgdyby do feryi jakiejś należąca rzecz przedstawiła mu się myśl, że się w starym rodzinnym mieście, w Rouen, ujrzy, że wejdzie do tej katedry starożytnej, gdzie chłopcem jeszcze raz pierwszy wobec zebranych ludzi na organach zagrał. Przedstawił się wzrokowi jego wyobraźni obszerny stary gmach, pałac arcybiskupów, gdzie ojciec jego, jako sekretarz kancelaryi arcybiskupiej od tyłu w jednym z bocznych skrzydeł mieszkał. Tu on się rodził; tu naprzeciwno, w domku niedużym, przytulonym do starego posepnego kościoła Ś-go Maclo, mieszkało miłe, wdzięczne dziewczę, Marynka na imię, które wzbudziło mu w piersi pierwsze, gorętsze serca uderzenie. Wesoła, śpiewająca wciąż jak ptaszyna na wiosnę, rozmówiona była bardzo w muzyce, i gdy on coś nowego na starym klawikordzie matki jej zagrał, coś skomponowanego przez siebie w tajemnicy przed wszystkimi dał jej usłyszeć, duże, ciemne jej oczy błyszczały jak gwiazdy. A miała niepospolicie piękny, czysty głos sopranowy, lubiła też śpiewać, zwłaszcza stare ludowe piosenki i umiała na pamięć wszystkie, jakie tylko śpiewano z Normandy. Często też, niemal codzień siadywali oboje szarą godziną przy fortepianie w niedużym pokoju, gdzie znajdowali się i rodzice jego. On akkompaniował; ona śpiewała piosenki, które lubił — tęskne, smętne, unoszące w krainę marzeń. Tyle, tyle lat upłynęło od tego czasu, a jemu śpiewają one jeszcze w duszy i owa na wpół zapomniana piosenka — piosenka przy kądzieli, — odzywa się nieraz do niego, jak echo dalekie, załatujące z poza gór, z poza lasów...

Marynka śpiewała mu ją raz ostatni wieczorem, w przeddzień jego wyjazdu do Paryża. Zrazu nie chciała tego uczynić, wymawiała się, gdy ją prosił o to, może lekając się, aby jej głosu nie zatomowały; ale on tak nalegał, że nakoniec uczyniła zadość jego żądaniu, a on pamiętał dotąd, że miała wtedy na sobie suknię w białe i niebieskie paski, że róże rumieńców uciekły jej z lica, w oczach stały lzy, siłą powstrzymywane, i głosem zrazu przytłumionym, lecz potem brzmiącym jak dzwonek srebrny, zaśpiewała:

Przadź, Małgosiu, przadź nieboże,
Ciagnij nitkę twą do końca,
Kółko wstrzymać się nie może,
Stanąc przed zachodem słońca.
Przecież przyjdzie to z kolei:
Wyprzedzie się zwolna życie...
Młodych marzeń i nadziei
Niech sen chociaż da odbicie!

On, przypominający sobie ten moment, nieraz się za głowę chwycił, aby uchwycić melodię, pod

którą podłożone były te wyrazy. Niegdyś, niegdyś napisał je był sobie na kawałku papieru już dziś pożółkłego, melodyi zaś sądził, że nie zapomni nigdy, a przecież zapomniał!.. Czasem zabrzało mu coś, jak echo dalekie, czasem śniło mu się, że ją słyszy wyraźnie, dobitnie, ale gdy się ocknął, już znowu nie pamiętał, i teraz, jadąc, myślał o tem smutnie, jak czas zabiera wiele człowiekowi. Barwy widzeń jego przeszłości płowieją zwolna, tony uciekają gdzieś w dal...

Szosa łącząca Rouen z Paryżem była bardzo starannie utrzymana, i gdy słońce zaczynało spuszczać się ku zachodowi, podróżny ujrzał wysokie wieże miasta, rysujące się liniami ciemnymi na złoto-ognistym tle nieba. Ogarnęło go wzruszenie razem słodkie i bolesne: wspomnienia tłoczyły się, zwłaszcza gdy w miasto wjechał. Zatrzymał się w starym zapamiętanym z dawnych lat hotelu; smutny wszedł na schody, a tak mu dziwnie było w roli obcego przybysza tu się ujrzeć, tak go ciągnęła tęsknota niespokojna do starych kątów, że wkrótce na bruku miejskim się znalazł, ku starej katedrze, ku arcybiskupiemu pałacowi się skierował. Niosły go nogi same; ani razu nie potrzebował się zatrzymać, aby obejrzeć się i pomyśleć, czy naprawo lub nalewo iść mu trzeba, a drogi nie zmylił, w zaułek koło arcybiskupiego pałacu wszedł, znalazł się na placu Ś-go Maclo, i przystanął.

Patrzył, patrzył, a zmrok już zapadał, kształty starego kościoła rysowały się uroczyście, mały domek stał jak za dni jego młodości, do murów jego przytulony, i świeciło się w okienku jak niegdyś, gdy on młodzieńcem o tej porze tu siedział. Ogarnęła go też nagle hallucynacja: trzydzieści lat życia zginęło dla niego, i zdawało mu się, że słyszy śpiew, że słodki głos dziecięcy nuci smętne: — Przadź, Małgosiu, przadź nieboże!.. i naprzód się posunął, rękę na klamkę położył, otworzył drzwi.

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Pisząc w nagłówku dzisiejszego sprawozdania „ruch muzyczny“ stajemy trochę w niezgodzie z obecną porą coraz mniej pod tym względem ruchliwą, coraz cichszą, coraz rzadziej nęcącą uroczemi tony, które tak niedawno jeszcze w pośrednich sal koncertowych się rozlegały. Wprawdzie p. Bullerjahn orkiestrą swoją zaprasza codziennie do Doliny Szwajcarskiej; ale gdzie tu muzyce rywalizować z czarami wiosny, które ogarniają duszę, porywają za sobą myśl i czucie, a wobec cudnie rozkwitającej i rozśpiewanej natury odsuwają na drugi plan sztukę, która przecież ma także swe ambitne wymagania, mianowicie: nie lubi rozerwanej, grzeszącej brakiem namaszczenia uwagi.

Z tych-to powodów Towarzystwo Muzyczne zamknęło już działalność swoją na kilka letnich miesięcy, pozostawiając swym członkom miłe, pocziwe wspomnienia; w ciągu jesieni i zimy napracowało się ono szczerze, aby wszystkim dogodzić. Towarzystwu zawdzięcza się uczestnictwo w niejednej prawdziwej uczcie muzycznej, która, w innych warunkach podana, mniej na te ciężkie czasy dostępną byłaby dla szerszego ogółu. Oprócz zastępu znakomitszych artystów Towarzystwo Muzyczne niejednokrotnie wyprowadzało na estradę godne uwagi siły amatorskie lub artystyczne, młodociane, probujące dopiero swojego wzlotu; zaś oprócz miłych chwilowych wrażeń działalność tej instytucji wytrwałej miała na celu posiew przyszłych czasów, kształcąc zbiorowe czynniki muzyczne, z którymi praca na polu poważnem nie zawsze u nas bywa wdzięczną i gorąco podejmowaną. Ostatni w sezonie wiosennym koncert, urządzony przez Dyrektora Noskowskiego zawierał programat bardzo interesujący. Usłyszeliśmy tedy w kompozycjach Tostiego, Moniuszki i Troszla śpiew panny Loewenberg, amatorki, śpiew pod względem intelligencji i wystudyowa-

nia zasługujący na szczery poklask. Wyżej wymienionych kompozytorów dał nam również usłyszeć p. Biernacki, barytonista, z większych rzeczy wykonywując arya Janusza z Op. „Halka”. Trzecim solistą był Bronis Hubermann, utalentowany mały skrzypek, w oko którego skupiają się najpiękniejsze wróżby, jeżeli tylko nauka poważna i umiejętna poprowadzi ten talent ku wyżynom, chroniąc od przedwczesnych błyskotliwych, na efekt obliczonych popisów, oraz walk z trudnościami nad wiek i siły. Uwagi te nasunęły nam się właśnie, gdy ostatni raz słuchaliśmy Bronisia, interpretującego na estradzie sztuki, które byłyby odpowiedniejszymi dla skończonych już wirtuozów.

Wrażenia nasze znalazły się w większej równowadze z wymaganiami, gdy na tejsamej estradzie wystąpił chór dziecienny, wedle rozumnych zasad prowadzony przez Dyrektora Noskowskiego. Miłuchna drużyna śpiewa, śpiewa czysto, rytmicznie, poprawnie, nawet z przejęciem, udatne piosenki już-to ze śpiewnika Noskowskiego, już Moniuszki lub Niedzielskiego, wykonaniem dając zupełne zadowolenie słuchaczowi, którego rozradowują i rozrzucają zarazem te naturalnie płynące, nieforowane dziecięce głosy. „Jaskółka”, „Zielone Świąta” Noskowskiego i „Kowal” Niedzielskiego, nadewszystko się podobały. Odegranie kwartetu Kreutzera: „Niedziela” powierzone było czterem uczniom p. Maliszewskiego z klasy instrumentów dętych, blaszanych; o występie tym również z zadowoleniem możemy się odezwać. Koncert uzupełniła dwukrotna deklamacja p. Jankowskiego.

Pragnąc jeszcze dać obraz swej pedagogicznej działalności, Towarzystwo Muzyczne, jak to bywa rokrocznie, i teraz urządziło popisów parę, do widowni Teatru Rozmaitości nader liczną ściągając publiczność. Jeżeli popisytenie wykazały świetnych rezultatów, jeżeli nie wszystkie klasy muzyczne miały godną zaznaczenia reprezentacyę, wina to zapewne nie Towarzystwa, ani też sumiennych profesorów, jakimi są: p. Münchheimer (klasa orkiestry) p. Malinowski (klasa instrumentów blaszanych dętych), p. Sobolewski (klasa klarнету i oboju) p. Miller (śpiew solowy). Przyczyny słabych owoców szukać należy w zbyt małym stosunkowo zamilowaniu uczniów do pracy poważnej artystycznej, — uczniów-amatorów; wiadoma rzecz, iż u nas, co nie podpada przymusowej klauzurze szkolnej, zamienia się, niestety, najczęściej w zależny od kaprysów dyletantyzm. Nie wiele tedy mamy do zanotowania z owych dwóch popisów, które się odbyły w dniach 26 i 29 Maja w południe. Na pierwszym z nich orkiestra p. Münchheimera z przejęciem i starannością odegrała uwerturę Komorowskiego z Op. „Kalmora” oraz „Loin du bal” Gilleta, — na drugim, mimo zapowiedzi programu, oczekiwana orkiestra wcale się nie stawiła. Klasa śpiewu solowego jednego tylko miała przedstawiciela w osobie p. Bayerleina, który odśpiewaniem jednej „Dumki” nie mógł dać dokładnego o studyach swoich wyobrażenia. Iskraw talentu rozwijanego z pracą i zamilowaniem wyróżnili się: p. Ryszard Münchheimer waltornista, p. p. Ignacy Krasowicz i M. Szule wirtuozowie na klarneckie. Chór Towarzystwa, może dlatego, iż po koncertowe już sięga wawrzyny, na popisie uczniowskim miejsca nie otrzymał; za to klasy deklamacji, prowadzone przez p. Kotarbińskiego i p. W. Szymanowskiego, wyprowadziły na estradę cały szereg aspirantów tej sztuki, z zapalem coraz większym uprawianej. Prawdopodobnie raz jeszcze powrócimy do Towarzystwa Muzycznego, mówiąc o wspianym Festiwalu pożegnaniowym; na teraz składamy dzięki tej czynnej Instytucji, dzięki szczerej za przeszłość, życząc nadal energii i wytrwałości w obranych kierunkach w imię hasła prawdziwego artyzmu.

Na scenie opery naszej wznowiono po latach kilkunastu sławne dzieło Webera: „Wolny strzelec”. Przyznajemy: z niecierpliwością czekaliśmy na to wznowienie, rozumiejąc, że w obecnych warunkach nasz Wielki Teatr, rywalizujący już pod względem obszaru i wyglądu z pierwszorzędnymi w Europie, postara się również i pod innymi względami uczynić zadość wszelkim wymaganiom. Usiłowania ku temu były widoczne, ale, niestety, smutnym zbiegiem okoliczności, najlepsze chęci reży-

sery, najusilniejsza praca dyrektora muzycznego mały tym razem plon wydały. Pomimo kosztów i pracy, pierwsze przedstawienie szło chwiejnie, nieskładnie, chwiejnością męcząc widza i słuchacza, któremu, zamiast estetycznych wrażeń, udzielał się niepokój lub rozstrój. I tak: dekoracje piękne, przeważnie sprowadzone z Wiednia i różne zewnętrzne akcesorya sceniczne niezawsze dobrze funkcyonowały z przyczyny niewprawnej zakulisowej służby. Grono śpiewacze, nie w zupełności trafne dla siebie podjąwszy rolę, czuło się, z wyjątkiem pana Sillicha, na gruncie nieswoim.

Szczegółowiej rozpatrując, zmuszeni jesteśmy powiedzieć, że akcenta liryczne leżą w głosie pani d'Orto, dla panny Babińskiej zaś wystudyowanie od razu partii Anetty, partii tak trudnej, koloraturowej, okazało się zadaniem ponad siły: jednym skokiem nie sposób dosięgnąć odpowiednich wyżyn techniki, którą przy pomocy dłuższych studyów przyswoić sobie należy, tak, żeby płynęła swobodnie, z wdziękiem. Pan Wołoszko, gdy jednocześnie śpiewakiem i aktorem być potrzeba, traci grunt pod sobą, to jednemu, to drugiemu zadaniu uchybiając. Chodakowski w roli księcia bardzo dobrze był usposobionym. Inni artyści, jako to: p. Niedźwiecki — pustelnik, p. Szaniawski — Kiljan, i p. Siwicki — Samiel czarny strzelec, także nie ścignęli na siebie zarzutów; ale danna gorących pochwał przynależy się jedynie tylko panu Sillichowi, który ślicznie się jako strzelec Gaspar przedstawił, grał z werwą sobie właściwą i, co najważniejsza, śpiewał *con amore*. Jemu też zawdzięczamy najmiłsze wrażenia z tej tak cudnej opery, której piękności muzyczne częstokroć tego wieczoru bywały zatracane, schodząc na drugi plan wobec baletu lub wabiącej oko scenery, a wszak te czynniki jeno ku podniesieniu ogólnych efektów służyć mają. W każdym razie, dla złagodzenia ostrego sądu wykonawcom i ku pociesze audytorium, zaznaczymy, iż było to przedstawienie — pierwsze.

Juljusz Stattler.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Badania mikroskopowe skał i minerałów. — Tachyskop elektryczny Anschütza. — Plamy na słońcu. — Dr Rischardson o influenzy. — Telegraf bez przewodników. — Kolej elektryczna. — „Cow-poż.”

Dzięki udoskonaleniu narzędzi optycznych, które w ostatnich czasach pozwoliły dokonać tyle odkryć w królestwie zwierzęcem i roślinnym, — można było naseryo pomyśleć o badaniach mikroskopowych skał i minerałów. Rys historyczny i opis nowych rezultatów w tym kierunku, streszczamy tu z doskonale napisanego artykułu we *Wszechświecie* przez p. J. Morozowicza.

Już w XVII wieku, t. j. zaraz po zbudowaniu mikroskopu złożonego, zaczęto rozpatrywać kryształy przezroczyste, a przedewszystkiem drogie kamieni, w celu zbadania tych cząstek, które je zanieczyszczają i temsamem zniżają ich wartość. Badania te ograniczały się i w wieku następnym jedynie do kryształów przezroczystych, nie umiano bowiem przyrządzać tak cienkich preparatów, ażeby one przy znacznym powiększeniu przepuszczały prawidłowo światło.

Łatwo zrozumieć, że o ile zoolog i botanik nie natrafia pod tym względem prawie na żadne trudności, o tyle mineralog ma do pokonania bardzo znaczne. Pierwsi przy pomocy brzytwy zrzucają z danej rośliny albo tkanki zwierzęcej cieniutki, przezroczysty skrawek i mają już preparat gotowy; drugi w wycięciu z minerału lub ze skały podobnego skrawka napotyka bardzo znaczne, często

niepokonane, przeszkody. W końcu XVIII wieku uciekano się do kruszenia skał na proszek i badano go przy pomocy mikroskopów; był to, w pewnym stopniu, krok naprzód zrobiony. Dopiero jednakże Nicol w roku 1831 stworzył metodę badania skał i minerałów, zasadzającą się na wyszlifowaniu cieniutkich blaszek, zdolnych do badania w świetle przechodzącem. Metodę Nicol'a udoskonalili jeszcze, współczesny mu Dawid Brewster przez zastosowanie do badań mineralogicznych światła spolaryzowanego.

Dopiero jednakże H. Sorby, którego uważać można za ojca nauki o mikrostrukturze, zdołał w roku 1858 otrzymać ze skał tafelki, nadające się pod względem cienkości (kilka setnych mm) do badań mikroskopowych jaknajdoskonalej. Odtąd zaczyna się na tem polu działalność nadzwyczaj energiczna i w skutki bogata. Prace profesora Ferdynanda Zirkla, Hermana Vogelsanga, Gustawa Czermaka, H. Rosenbuscha, Michel-Lévy'ego i Fouqué'go, Cohena i innych, przyczyniły się do wyświetlenia wielu bardzo ciekawych a przedtem nieznanych faktów naukowych.

Pominiemy tu opis mikroskopu mineralogicznego, a przyjrzymy się za to owym cieniutkim skrawkom przeznaczonym do badania. W gruncie rzeczy są one podobne do skrawków pochodzących ze światła organicznego, różnią się zaś tylko sposobem przygotowania. W celu otrzymania preparatu odbija się od skały lub od minerału, przeznaczanego do badania, płaski kawałek przy pomocy młotka. Nie powinien on wynosić więcej nad 2 cm. z powierzchni. Osiąga się to również zapomocą odpowiednio zbudowanych machin, które odpływają się oznaczonej wielkości część minerału lub skały. Otrzymaną w ten sposób płytkę poddaje się szlifowaniu w celu doprowadzenia jej do takiej cienkości, przy której światło już swobodnie przechodzi, a u znacznej większości minerałów udaje się to osiągnąć.

Szlifowanie odbywa się na płycie żelaznej, posypanej proszkiem bardzo twardego minerału szmirglu (odmiana korundu), polanej wodą. Nasamprzód szlifuje się jedną stroną minerału dopóty, dopóki powierzchnia nie stanie się możliwie gładką, i w tym celu płytę żelazną posypuje się coraz drobniejszym proszkiem szmirglu, ostateczne zaś wygładzenia dopełnia się na taflę ze szkła matowego, posypanej nadzwyczaj delikatnym proszkiem tleniku żelaza. Następnie po wymyciu i wysuszeniu tafelki przykleja się ją, już odszlifowaną stroną, do szkiełka przedmiotowego zapomocą balsamu kanadyjskiego, przyczem wypada ją dosyć silnie ogrzewać w celu wypędzenia pęcherzyków powietrznych. Gdy balsam już zastygł, przystępuje się do szlifowania powierzchni odwrotnej. Za skalę przezroczystości zazwyczaj uważamy możność odróżniania przez tafelkę liter drobnego pisma. Wreszcie oczyszcza się powierzchnię górną, puszcza na nią kroplę balsamu, ogrzewa i nakrywa się szkiełkiem pokrywkowym. W ten sposób otrzymany *szlif* jest przydatny do badania mikroskopowego.

Badania mikroskopowe tego rodzaju umożliwiły podział wszystkich minerałów na dwie wielkie grupy. Do pierwszej należą minerały załamujące światło pojedynczo (jednołomne) czyli *izotropiczne*; do drugiej zaś grupy, znacznie liczniejszej, minerały podwójnie załamujące światło (dwójłomne) czyli *anizotropiczne*.

Nie będziemy się tu bliżej zastanawiali nad różnymi własnościami optycznymi minerałów, a tylko jeszcze słów kilka pragniemy powiedzieć o metodzie określania *pleochroizmu* czyli pełnobarwności. Jest to zjawisko właściwe minerałom dwójłomnym, przezroczystym a zarazem barwnym. Wielobarwność polega na tem, że pewne minerały w różnych kierunkach pochłaniają różną ilość składników przechodzącego przez nie światła białego, co sprowadza też i odmienne zabarwienie. Minerały jednoosiowe są dwubarwne, albowiem w kierunku pewnego promienia (prostopadłego do osi optycznej) pochłaniają mniej lub więcej światła, aniżeli w kierunku innego promienia (równoległego do tejże osi). I tak np., jeżeli patrzeć będziemy przez turmalin o przekroju poprzecznym wyda się nam szparagowo-zielonym, zielonawo-niebieskim lub też niebieskim; płytki

zaś, wykrojone równoległe do osi optycznej, dadzą odpowiadające powyższym barwy: żółtawo-brunatną, ciemno-brunatno-fioletową albo purpurową. Minerale zaś dwuosiowe zmieniają swe barwy w trzech prostopadłych kierunkach, odpowiadających trzem osiom krystalograficznym, minerale te są zatem trójbarwne.

Mikroskop tedy powołał do życia nową naukę: *mineralogią mikroskopową*, która, w miarę dokonywanych postępów, wyświetli z pewnością bardzo wiele ciekawych faktów naukowych.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Nową mapę dróg wodnych i lądowych w Rosji wydaje ministerium komunikacji.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że w projektowanej na rok 1893 rewizji taryfy ogólnej uwzględnione zostaną pewne pozycje handlu wewnętrznego. Między innymi produkta ogrodnicze, przewożone kolejami, korzystać mogą z taryf niższych.

— Muzeum rzemieślnicze, które mieścić się będzie w gmachu muzeum przemysłu i rolnictwa, rozpocznie działalność swoją od urządzenia sali rysunkowej z odpowiednimi kursami nauki rysunku, stosowanej do rękodzielnictwa.

— Przy odnawianiu ścian w „Białym domu” w Łazienkach, odkryto pod obiciami i malowaniami poprzednimi bardzo piękne freski, przedstawiające widok Rzymu, Tivoli, Wenecji. Powtórzyło się to samo i w „Pałacu myśliwskim”.

— Towarzystwo Sztuk Pięknych urządzające corocznie wystawy konkursowe, ogłosiło obecnie doroczny konkurs rzeźbiarski. Dopuszczone tu będą wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa, wykonane w ciągu ostatnich lat trzech i nie przedstawione na żadnej wystawie. Deklaracje należy nadsyłać pod adresem Komitetu po d. 15 Grudnia. Przedmioty wystawy powinny znajdować się w lokalu Towarzystwa najpóźniej w d. 31 Grudnia o godzinie 6-tej przed wieczorem. Nagród wyznaczonych jest trzy: 600 rs., 300 rs., 200 rs. Oprócz tego przyznawane będą listy pochwalne.

— Otwarta w Monachium międzynarodowa wystawa sztuki przedstawia się wspaniale, zaliczyć ją trzeba do największych i pod względem zgromadzonych tu dzieł sztuki najznakomitszych wystaw nowoczesnych. Przecież naszym artystom dostała się salka mała, a przytem wysokie wymagania komisji sędziów stały się przyczyną, że oddział nasz nie przedstawia się tak świetnie jak na wystawie berlińskiej. Większość dzieł tu pomieszczonych jest pędzla artystów, stale zamieszkujących Monachium. Portrecista nasz, Kazimierz Pochwański, cieszy się w Wiedniu wielkim powodzeniem i zajmuje między osiadłymi tam artystami, jedno z miejsc pierwszych.

— Matejko zachorował bardzo silnie.

— Zarząd budującego się w Krakowie teatru, traktuje z Siemiradzkim o wykonanie kurtyny. Siemiradzki podobno skłania się do podjęcia tego dzieła.

— Kotarbiński wystąpił we Lwowie w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca w roli Uriela Akosty.

— Rocznicę zgonu Moniuszki obchodzono w Krakowie bardzo uroczystie przez tamtejsze Towarzystwo Muzyczne wykonaniem „Widm”. Żeleński pracuje nad obszernym studium o Moniuszce. Jeden z malarzy warszawskich wykona portret Moniuszki dużych rozmiarów.

— Pomnik autora „Kalinę”, to jest Komorowskiego, na cmentarzu Powązkowskim odnawiany jest dzięki ofiarności pewnego grona osób.

— Na wiedeńską wystawę muzyczno-teatralną wysłano z Warszawy kolekcją fotograficznych portretów naszych aktorów z ostatniego lat dzieśiątki. Obok Żółkowskiego, Królikowskiego, Tarkiewicza, Modrzejewskiej i Romany Popiel znajdują się wybitniejsze osobistości dzisiejszego składu naszej trupy teatralnej.

— Założenie w Warszawie Bazaru rzemieślniczego staje się faktem, ponieważ ludzie dobrej woli złożyli już na ten cel 10.000 rs., w czem uczestniczyło 214 osób. Na czele listy składek stoi akcyjne Towarzystwo Scheiblera z dwudziestoma udziałami po 25 rs. Po dziesięć udziałów posiadają: Warsz. Bank Handlowy, zgromadzenie garbarzy, firma Hille i Ditych, oraz p. Bloch, na sześć udziałów zapisali się p. p. Zerański, Łapiński, F. Woroniecki i tak dalej. Po cztery udziały wzięły zgromadzenia ślusarzy, szewców, malarzy, 170 rzemieślników i fabrykantów posiada udziały na 25 rs. Kassa Przemysłowców Warszawskich dała ofiarnie 1.000 rs., i wielce pożyteczna instytucja może już rozpocząć działanie, stając do obrony rzemieślników naszych przed wyzyskiem lichwiarzy. Starania o założenie tej pożytecznej instytucji trwało lat trzy. Cechów rzemieślniczych jest w Warszawie 50; najbogatsze spośród nich są cechy szewców, krawców i stolarzy.

— Wśród publiczności naszej powstał projekt wzniesienia zakładów poprawczych dla dzieci moralnie zaniedbanych, niekaranych jednak sądownie, a które umieszczonemi-by tam były przez rodziców, lub opiekunów w celach umoralnienia ich przez odpowiednie środki wychowawcze, działające na uczucie i umysł. Zakłady te wznoszony-by były przeważnie w okolicach fabrycznych, z programem nauki elementarnej, oraz nauczaniem rozmaitych rzemiosł. Projekt został już przedstawiony władzy do zatwierdzenia; kwestya funduszu może być załatwioną przez użycie kapitałów miast, gdzie szkoły zostały by wzniesione, a które obecnie złożone są w banku. Liczyć przytem można na ofiarność ludzi dobrej woli, a nawet opłata od pensjonarzy coś by też znaczyła. Taki zakład poprawczy najpilniej jest potrzebnym w Łodzi, które to miasto przedstawia u nas najważniejszy punkt fabryczny.

— Rada Miejska w Przemysłu uchwaliła w 1887 wzniesienie „Domu przytułku i pracy” dla 30 ubogich, i obecnie dom ten już wzniesiono kosztem ofiarności ogółu, do której się odwołano, gdyż gmina miasta dać mogła jedynie plac pod budowę i kamienie pod fundamenta. Zebrano

w przeciągu przeznaczonego czasu 9.600 zł. reń., na budowę z dołączeniem funduszu na urządzenie zakładu, co razem wytworzyło 11.000 zł. reń. Obok tego Rada Miejska przeznaczyła z dochodów miasta 1.000 zł. reń. rocznie, przytem oprócz datków dobroczynnych, oprócz taksy od zabaw i zebrań muzycznych, kary policyjne, które szły na fundusz ubogich a także ustanowiona opłata od przedstawień dramatycznych, cyrkowych, koncertów, w ogóle od wszystkich widowisk i zabaw publicznych pobierana jest w stosunku pięciu od sta dochodu brutto. Opodatkowana została zabawa na korzyść inwalidów pracy.

— Professor Uniwersytetu w Genewie, D-r Zygmunt Laskowski, zasłużył się wielce nauce przez „wielki atlas normalnej anatomii człowieka”, nad którym pracował lat trzydzieści, poświęcając się całkowicie mozolnej i trudnej, niezmierzonym owoców pożytecznej wiedzy nie opłacającej się pracy. Potrzeba tu było całkowitego zaparcia się siebie dla spraw nauki, w czem D-r Laskowski poszedł za przykładem też do nas należącego uczonego, niegdyś profesora Warszawskiej Szkoły Głównej Hirszfelda, który również jest twórcą anatomicznego atlasu, ale w rozmiarach tak obszernych, że tylko wyjątkowo studującym ten przedmiot pożytecznym być może, a nigdy dla studującej młodzieży. Uczeń zapisali całe arkusze o dziełach tych dwóch uczonych mężów naszych, którym korzyści ich pracy wykraść chciał jakiś samozwaniec, który bardzo wadliwą i lichą przeróbkę atlasu prof. Laskowskiego niemal jednocześnie z jego dziełem w obieg puścił, podpisując „Laskowsky”. Jakkolwiek autor zastrzeżenie zaraz zrobił, niemniej poszkodowanym być może, tak na mieniu, jak sławie, bo przeróbka jest wielką lichotą.

Technicza część wykonania atlasu stawia go na równi z najdoskonalszymi dziełami z tego zakresu, w czem główna zasługa przypada p. Zygmuntowi Balickiemu, rysownikowi, który przeszło dwa lata pracował nad tem dziełem wytrwale i umiejętnie. Ze atlas, jakkolwiek w Genewie, wyszedł w zakładzie też naszego ziomka, p. Stanisława Brauna, całe to dzieło, przynoszące nam chwałę w dziedzinie nauki i sztuki, jest doskonałe naszem.

— W Wiedeńskim Teatrze Wystawowym Opera czeskiego kompozytora Dworaka „Dymitry” została bardzo gorąco przyjętą. Śpiewak Floryański, który grał głównego bohatera, był bardzo żywo oklaskiwanym.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu” dołącza się: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TREŚĆ: Krzysztof Kolumb (z drzeworytem).—Do..., przez J. Nitowskiego.—Dar tęsknoty, przez M. Ilnicką.—Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg).—Przegląd piśmienniczy, przez J. Nitowskiego.—Pierwsza miłość.—Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera.—Z działu przyrody, przez Dra Józefa Starkmana.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.

PRZEGLĄD MÓD.

Kapelusze słomkowe i filcowe.—Batysty nowe.

Po za ślicznymi modelami fantazyjnych kapeluszy, które opisaliśmy poprzednio, na codzienny spacer, czy też jak francuzi nazywają bieganinę, po ulicy noszą się najwzyczajniejszej formy angielskiej małe kapelusiki słomkowe a nawet filcowe, które przy chłodnej wiośnie ciągle noszono. Zwyczajną okrągłą główkę zaledwie 3 c. wys. z wąskim rondkiem otacza się zwitkiem lub plisowaniem muslinowem, aksamitem lub wstążką, z przodu zdobi go wysokie upięcie jednego z tych materyałów oparte na skrzydle białem, zastosowane do

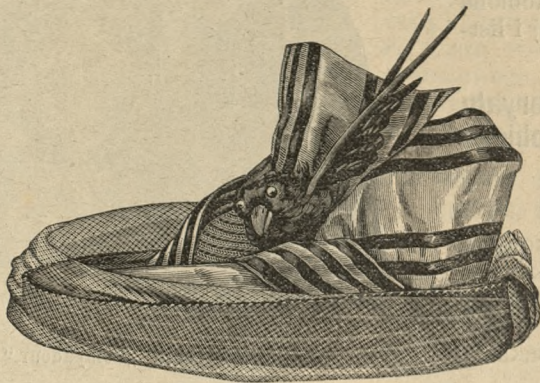
damskie, które, czy to na drogę, czy na chłodny dzień, każda z nas w toalecie swej mieć musi, zaopatrzone nadto ten magazyn w owe ubrane kapelusiki słomiane, o których wyżej mówiłam, widziałam tam śliczny jasnego koloru „beige,” przybrany tegoż samego koloru jedwabną wstążką, ale tak zręcznie, że każdemu wpadał w oczy.

Zarzucono tegorocznym wyrobom, że nie nie wymyślono na letnie upały, otóż zmuszeni jesteśmy stanowczo zaprzeczyć temu. W witrynie pana Herzego, gdzie zawsze odrapowane są suknie, jakby były gotowe, zobaczyłam całą seryę jednego koloru a różnych deseni niebieskie batysty, wchodzę, pytam po czemu? — „po rs. 1 kop. 35 łokieć,” zlekłam się, wyrób bawełny taki drogi? Na moje zdziwienie pokazano mi batysty, bo tak się dziś

zowią wszelkie żagnoty, satyny, zefiry dawniejsze po 25 kop. i rs. 1 kop. 80 łokieć! tak, są tu rzeczy na wszelkie ceny i na wszelkie kieszenie, a że dziś nie potrzeba na suknię więcej jak 9 łokci podwójnego materyału nawet dla wysokiej osoby, więc całość nie drogo wypadnie. Że zaś najdroższy był o wiele węższy, więc w porównaniu był przeszło po rs. 3 łokieć, ale to były na najeńszszej tkaninie batystu koloru złota, malowidła artystyczne. Batyst taki daje się na mieniącem jedwabiu, a co za efekt sprawia, ten tylko pojąć zdoła, kto taką suknię zrobioną przez pannę Walentynę w magazynie pana Herzego widział. Żeby dać radę osobom mniejszych funduszów, to radzę na letnią suknię użyć bengaliny w desień po 80 kop. łokieć, które w rozlicznych wzorach widzieliśmy u p. Makowskiego, na strojnieszczą zaś ową woalinę kremową karbowaną, o której pisaaliśmy u pani Heurich, a jakie to ładne dla młodej osoby! L. C.



Nr 3. Kapelusz ze słomianej pleśni przybrany aksamitem.



Nr 4. Kapelusz z grubej słomianej pleśni.



Nr 1. Suknia spacerowa z materyału wełnianego. (Opis pierw. tabl.)

Nr 2. Suknia krojem „princesse” z materyału jedwabnego. (Opis pierw. tabl.)

Kapelusz ogrodowy dla młodszej jak i dla starszej osoby.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 22.

Kapelusz z pleśni słomianej naturalnego koloru z dużym rondem nieco na o c z y spuszczone, przybrany białą koronką 24 c. szer., wstążką lila morową 6 cen. szer. i bukietem z dzwoneczków koloru lila.

Kapelusz podróżny z filcu.

Rycina Nr 2, w Bl. Nr 22.

Kapelusz z filcu koloru popielatego, przybrany materyałem wełnianym koloru białego i piórkami fantazyjnymi koloru brązowego.

Kapelusz z materyału koronkowego i koronki.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 22.

Kapelusz okrągły wykonany na drucikach, pokryty białym koronkowym materyałem na podszewce z lekkiego materyału jedwabnego. Otoczony białą koronką marszczoną 7 c. szer., po nad którą ułożona rusza z jasno-niebieskiej materyi; główka pokryta koronką na niebieskiej podszewce. Wstążka niebieska w paski wykończa całość podług ryc.

Kapelusz z tiulu.

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 22.

Forma z drucika w kształcie małej kapotki, pokryta czarnym tiulem, następnie zaś tiulem fałdowanym w bufki i gwiazdkami z dżetu. Bukiet z róż różowych i czarna aksamitka wykończa całość.

Kapelusz podróżny ze słomy.

Rycina Nr 5 w Bl. Nr 22.

Kapelusz okrągły z płaską główką ze słomy koloru zielonego, otoczony dwa razy grubym sznurkiem jedwabnym tegoż koloru, zakończonym żółtymi pasmanteriami. Kogucie pióra cieniowane czarne z brązowym wykończają całość.



Uczesanie głowy dla młodej osoby.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 22.

Sposób uczesania w stylu greckim. Dwie przepaski złote lub sztyldkretowe, lub też z aksamitu dopełniają uczesania.

Kapelusz z koronki i kwiatów.

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 22.

Kapotka, wykonana na formie z drucików, pokryta czarnym tiulem, otoczona frendzelką z dżetowych gretetek, po nad którą opasanie z czarnej aksamitnej wstążki, która przeciąga się następnie jako wiązanie w sposób wskazany na ryc. Część środkową przednią zdobi koronka 11½ cent. szer. ułożona w wachlarz, główka zaś i część tylna ozdobiona bukietami z mimozy kwitnącej i listków.

Suknia z czarnego materiału koronkowego ozdobiona wstążką.

Rycina Nr 8 | Bl. Nr 22.

Suknia z materiału koronkowego w pasy 12 c. i 6 cent. szer. tkana w sposób, że pasy węższe dzielone są w 7 c. odstępów poprzecznymi nacięciami, służącymi do przewleknięcia wstążki, bądź - to koloru czarnego, bądź innego. W dolnym brzegu przy obrąbku wstążka, zakończona zawsze puklem. Stanik z materiału jedwabnego gładki i zapinany z przodu, pokryty materiałem koronkowym, ułożonym w fałdy, przepięte w pasie wstążką, z końcami rzuconymi na lewym boku. Przybranie stanika i rękawów podług ryc. wycinane w zęby i ozdobione dżetem.

Worek na plaid ozdobiony haftem w stylu bułgarskim.

Rycina Nr 9 w Bl. Nr 22. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 64 do 66).

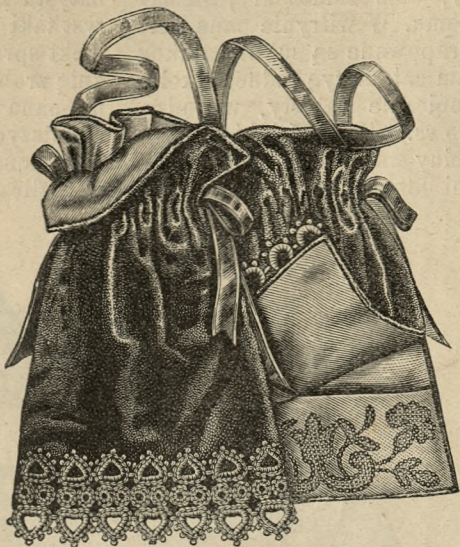
Worek z grubej bawełnianej tkaniny koloru niewiarowego. Skrajać część 136 c. wys. a 60 cen. szer. Po obydwóch poprzecznych brzegach wykonać obrąbek mniej więcej 2 c. szer. Wyłożyć tamże 30 cent. wysok. materiału na kieszeń i połączyć brzegi. Następnie część zewnętrzną ozdobić haftem ryc. 10 i 11, oraz fig. 64—66 bawełną ponsową, niebieską i brązową, ścięciem płaskim, gałązkowym i pocztowym. Wykonać kieszenie od 16—21 c. wiel. a mianowicie jedną podług ryc. 2-gą do drugiej połowy o 4 cen. odległości od brzegu zewnę-

trznego. Wewnątrz zaś w miejscu jeszcze wolnem przyszyć jak wskazuje ryc. kieszonki na wsuwanie parasoli lub lasek. Przyszyć wehniałe ponsowe wstążki do zawiązywania worka i rodzaj klamerki ze skóry dla łatwiejszego przenoszenia.

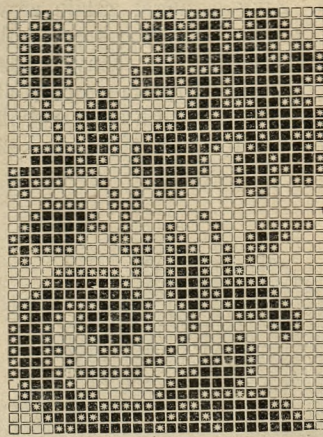
Napierśnik z krepy i koronki irlandzkiej.

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 22.

Część krepy 50 cent. szer. a 35 c. dług. koloru



Nr 5 i 6 Woreczek „Pompadour.”



Nr 7. Deseń na woreczek Nr 5 i 6.

■ Brązowy, □ złoty, □ tło.

łososiowego, ułożyć w fałdy, nadając formę nieco spiczastą, otoczyć koronką 18 c. szer., której potrzeba 150 cen. dług. Stojący kołnierzyk zapinany z tyłu pokryty koronką.

Czepeczek dla starszej osoby.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 22.

Foremkę wykonać z druciku, nieco z przodu spiczastą, pokryć czarnym tiulem a następnie tiulem koronkowym czarnym w deseń 13 c. dług. a 6 c. szer. Przedni brzeg otoczyć koronką 4 c. szer., ułożoną w kontrafałdy, boki zaś koronką 8 cen. szer. a 27 c. dług. ułożyć podług ryc. i połączyć z tylną częścią za pomocą ozdobnej szpilki. Oprócz tego średnią część wykończyć, układając koronkę 6 c. szer. częścią w kontrafałdy, częścią w ślimaka.

Szalik wykonany szydełkiem.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 22.

Szalik wykonany sznelą jedwabną koloru białego. Rozpocząć na założeniu 64 o. tam i napowrót, przerabiając ciągle jak następuje:—1 kolej: 4 o. opuścić *, na muszkę, 3 razy nitkę założyć na szydełko, 1 o. zebrać z następnego o. i takowe na 2 c. wyciągnąć, ocz. zebrane na szydełku, oraz nitkę założenia 1 o. przerobić i takowe przyciągnąć, 1 o. pow., 1 o. opuścić, od * powtórzyć 29 razy. — 2 kolej: 4 pow. ocz.: ciągle naprzemian. 1 muszka w nast. pow. o., 1 pow. o., na koniec 1 muszka w o. pow. po nad ostatnią muszką. 2-gą kolej powtórzyć 78 razy, ale przy rozpoczęciu i zakończeniu każdej kolei uważać, ażeby ilość muszek nie powiększała się. Po wykończeniu otoczyć poprzeczne brzegi rodzajem frendzli, którą przymocowywać należy, przewiązując sznelę do brzegu szalika, poczem *, jedno ocz. zebrać, 1 pow. ocz., które mniej więcej wyciągnąć na 6 cent., oczko zebrane mocno przyciągnąć, od * powtórzyć.

Sposób uniesienia spódnicy z trenem.

Rycina Nr 15 w Bl. Nr 15.

Przy rozpowszechniającej się modzie sukien z trenem, podajemy bardzo łatwy sposób uniesienia takowego na ulicy. Przy zakończeniu rozporka przyszyć po odwrotnej stronie dużą haftkę czyli konika i odpowiednią do tego hafteczkę stosownie do długości trenu o tyle wyżej, ażeby przednia długość sukni była odpowiednią długości tylnej.



Nr 9. Kapelusz dla panienki od 12—14 lat.

Nr 12. Kapelusz dla panienki od 8—10 lat.

Nr 8. Kapelusz dla małego chłopczyka.

Nr 11. Kapelusz z batystu haftowanego.

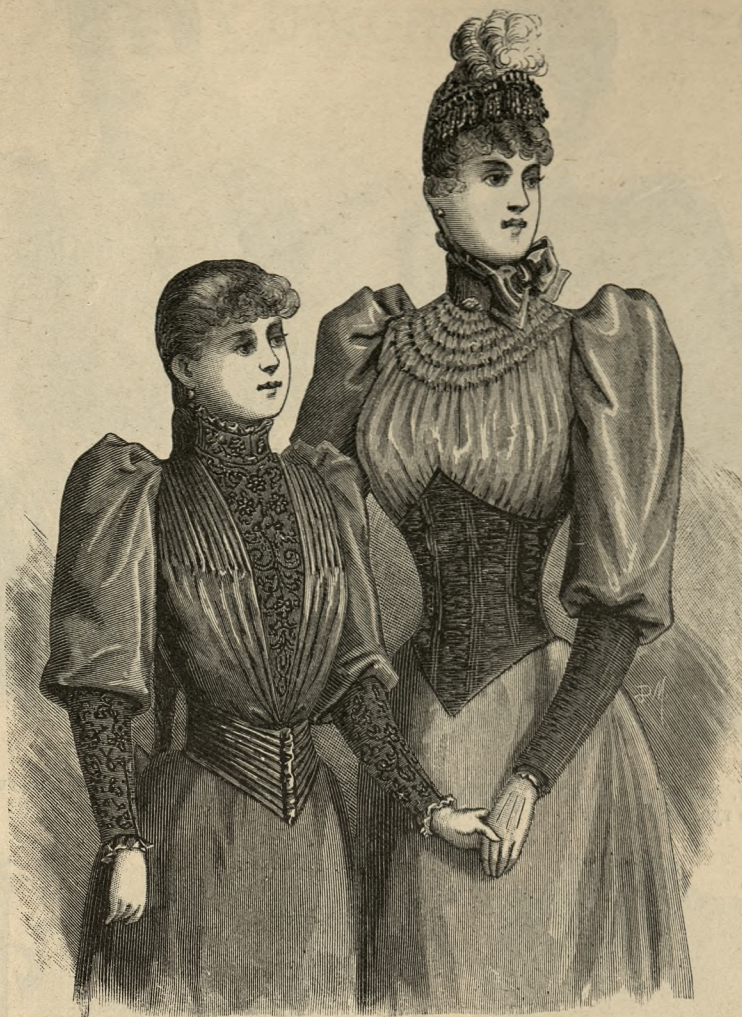
Nr 13. Kapelusz dla chłopczyka od 4—8 lat.

Nr 10. Kapelusz z batystu dla małej panienki. (Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 38 i 39).

Nr 14. Kapelusz dla panienki od 10—12 lat.



Nr 15. Szlafroczek kaszmirowy ozdobiony koronką.
(Opis pierw. str. tabl.).



Nr 16. Suknia dla panienki od
14 — 16 lat. (Opis odwr. str.
tabl.).

Nr 17. Suknia z materiału kre-
powanego i mory.
(Opis odwr. str. tabl.).



Nr 18. Suknia krojem „princesse” z fałdą „Watteau.”

Nr 19 i 20. Suknia ozdobiona wstążką. (Opis odwr. str. tabl.).

Puf na drobiazgi do prania ozdobiony haftem.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 22. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 67).

Puf wykonany na podstawie okrągłej 40 c. średnicy. Boczne ściany ze sztabek trzcinowych 50 cent. dług., umieszczonych w równych odstępach i w górnej części umocowanych w drewnianym kole, tworzącym brzeg górny pufu. Całość bocznych ścian pokryta tekturą a następnie podług ryc. w brzegu górnym i dolnym bają koloru terrakota, dalej zaś haftem wykonanym na tkaninie bawełnianej „Kuba” podług fig. 67, rozmaitego koloru hamburską przędzą, filozelą i cienkim złotym sznureczkiem ścięciem „Smyrna.” Otoczenie figur wykonać ścięciem Holbeina włóczką koloru czarnego. Górna część otoczona riaszą wycinaną w zęby z białej koloru granatowego, woreczek zaś z kaszmiru koloru terrakota. Sznureczki z kwastami tegoż koloru.

Fartuszek ozdobiony haftem wykonanym ścięciem krzyżowym.

Rycina Nr 20, 27 i 28 w Bl. Nr 22.

Fartuszek wykonany z materiału bawełnianego koloru żółtawego. Skrajać część 46 c. wys. a 60 c. szer. Dolny brzeg otoczyć szlakiem przezroczystym 10 cent. szer., a oprócz górnego brzegu wszystkie inne otoczyć szlakiem 7 c. szer. z materiału bawełnianego koloru granatowego w deseń. Haft podług ryc. wykonać ścięciem krzyżowym żółtą i granatową bawełną na podkładzie z kanwy, którą po wykończeniu należy wyciągnąć.

Ubranie dla chłopczyka od 5—7 lat.

Rycina Nr 30 w Bl. Nr 22.

Ubranie z materiału wełnianego w kratki popielatego koloru, złożone z majtek, stanika spodniego i z kurtki. Przednia górna część kurtki w drobne zakładeczki. Kohnierzyk wykładany. Pasek z tegoż samego materiału, pod spodem zaś kurtka ściągnięta na tasienkę.

Paltot dla chłopczyka od 4—6 lat.

Rycina Nr 31 w Bl. Nr 22. (Krój odwr str. tabl. Nr IX, fig. 54—55).

Paltot z materiału wełnianego koloru migdałowego. Po dopełnieniu złożenia fig. 51 i 52 skrajając z podszewki i z materiału fig. 51 dwie części, fig. 52 i 53 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Fig. 54 rękawy. Tylko z materiału fig. 55 z uwzględnieniem wystających konturów. Zeszyć fig. 51 i 52, wykonać wzdłuż podwójnej linii dolne nacięcia, wszyć w takowe kieszenie i wykończyć klapkami 5 c. szer. Do górnego nacięcia przyszyć klapkę 2½ centim. szer. Następnie przedni brzeg pod spodem obłożyć materiałem na 7 c. szer., zaopatrzyć w guziki, oraz podług wskazówek listwę z dziurkami i wyłożyć jednocześnie z kołnierzem wzdłuż linii zgięcia. Rękawy zeszyć od 45—46, wszyć w paltot i pelerynę przyczepić za pomocą haftki od * do dwukropka.

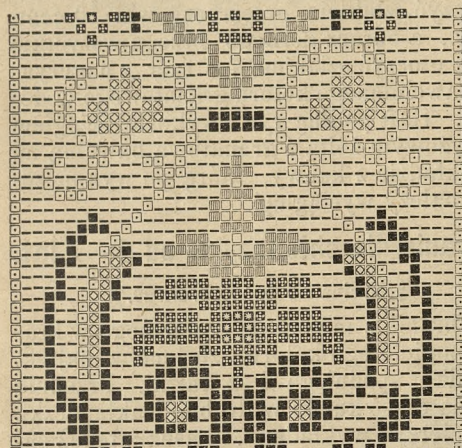


Nr 21. Bluzka z materiału jedwabnego (do ryc. Nr 27). Opis odwr. str. tabl.

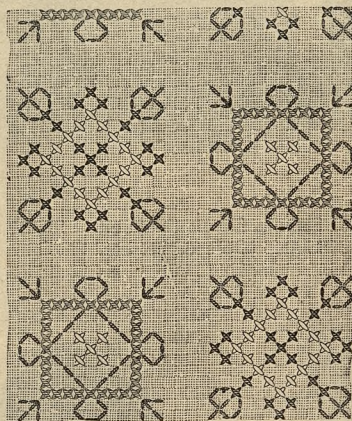
Nr 22. Bluzka z atlasu „merveilleux” do sukni Nr 49 w Bl. Nr 24.

młode i szczypiorkiem. Na cztery osoby 6 pęczków lub 2 główki sałaty, obrać, opłókać, jak zwykle, i włożyć w serwetę wytrząsnąć razem aby wszelka wilgoć w nią wsiąkała. Oddzielnie ugotować 8 świeżych kartofli w łupinach, naturalnie sparzywszy je pierwój; ugotowane obrać i pokrajać w plasterki, posolić i popieprzyć białym pieprzem, który zawsze estetyczniej wygląda. Na salaterkę wlać 3, wyraźnie trzy, mniej nie można, pełne łyżki oliwy, można i cztery, wymieszać z dwoma łyżkami winnego lub lepiej entragowanego octu i tak że trochę posolić, wsypać trochę stosownie do gustu, młodego, drobniutko pokrajanego szczypiorku, włożyć najprzód kartofle, a następnie dopiero sałatę, wymieszać razem, próbując, czy nie za mało słona lub za mało kwaśna, niech co najmniej postoi z pół godziny dla zmacerowania się razem i dopiero podać do stołu.

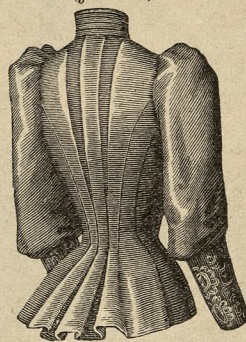
L. C.



Nr 24. Kaftanik dla małych dzieci wykonany na drutach.



Nr 25. Deseń na kołderkę do wózka Nr 29 (robota krzyżowa i ścieg Holbeina). * Granat. (jedwab), * jasn. nieb. (jedwab), * piaskowy (jedwab).



Nr 27. Tylna część bluzki do ryc. Nr 21.



Nr 23. Monogram



Nr 28. Kolebka na nóżkach.

Nr 26. Deseń na kołderkę Nr 29 (robota krzyżowa). ■ Ciemno-piaskowy, □ jasno-piaskowy, * ciemno-oliwkowy, ■ jasno-oliwkowy (jedwab), * ciemno-różowy (jedwab), □ jasno-różowy (jedwab), □ tło. —

Suknia ranna z fałdą „Watteau”

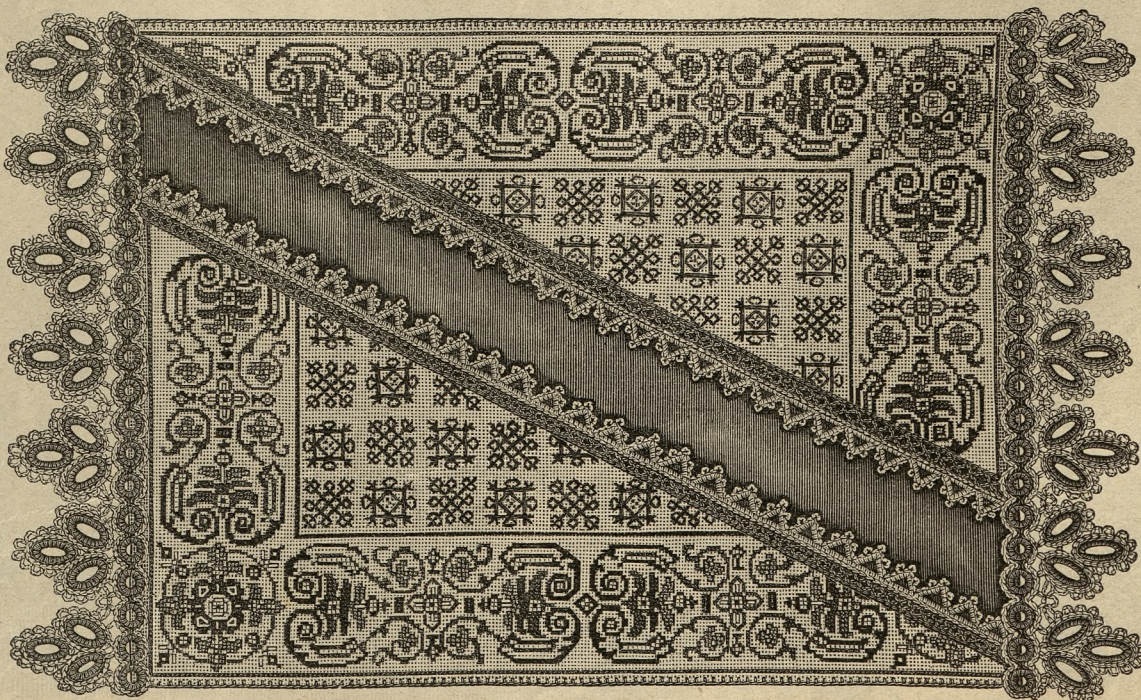
Rycina Nr 32 w Bl. Nr 22.

Suknia formą „princesse” zapinana w przedniej części, z trenem powłóczystym. Wykonana z muślinu wełnianego koloru ponsowego w deseń biały. Pasek z czarnego aksamitu i także przybranie sukni i rękawów podług ryciny.

Przepisy gospodarskie.

Salata z kartoflami.

Wyborną kombinacją jest salata zielona z kartoflami



Nr 29. Kołderka na wózek dziecienny (robota krzyżowa, ścieg Holbeina i robota szydełkowa) do ryc. Nr 25 i 26.

Obiad na Niedziele.

1. Rosół z liśćmi szczawiowymi i jajkami w koszulkach.
2. Sztukamięsa biała z ogórkami.
3. Szparagi.
4. Pieczeń barania z kartoflami.
5. Legumina z naleśnikami.

UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.